

Życie piosenką ustłane

Rozmowa z Jasią Jasińską - artystką lwowską, która przeszła szlak bojowy z 2 Korpusem Polskim gen. Wł. Andersa, po wojnie artystką teatru Hemara w Londynie.

*Jasia Jasińska, w kawiarni i na estradzie, ten sam głos, ten sam
wdzięk ta sama Jasia.*

(fragment zapowiedzi recitalu)



Jasia Jasińska, fot. arch. artystki.

Joanna Sokołowska-Gwizdka: *Skończyła pani przed wojną szkołę muzyczną we Lwowie. Kto panią uczył?*

Jasia Jasińska: Uczyłam się w prywatnej szkole Malwiny Reiss. Zapamiętałam ją jako okropną dziwaczkę, bo jeszcze w latach 1938-39, sztywno nosiła staromodne wówczas suknie z długim trenem. W szkole miałam wspaniałego profesora, Włocha (nie pamiętam jak się nazywał). Grubas, źle mówił po polsku, ale wiedział jak ustawić mój głos. Był na prawdę nadzwyczajny.

Bardzo też chciał mnie uczyć i zwabić do Konserwatorium wspaniały człowiek, Adam Sołtys – wielki dyrektor Konserwatorium we Lwowie, ale ja byłam wówczas w tej prywatnej szkole i się nie zgodziłam. A potem wybuchła wojna.

JSG: *Kim pani się bardziej czuje, śpiewaczką czy aktorką?*

JJ: Od urodzenia jestem i tą i tą, tak myślę. Zawsze fascynowała mnie piosenka aktorska, natomiast opera mnie nigdy nie pociągała, wydawała mi się sztuczna. Przed wojną występowałam we Lwowie na różnych scenach, ale nie operowych. Wystąpiłam też w koncercie na dwa fortepiany, ale fortepian nie był moją pierwszą miłością, instrument traktowałam uzupełniająco.

JSG: *Czy w pani rodzinie były tradycje teatralno-muzyczne?*

JJ: Matka miała bardzo piękny głos i sama sobie śpiewała. W tym okresie, nie można się było uczyć śpiewu, to byłby skandal. Grać na fortepianie wypadało, ale nie śpiewać na scenie. Gdy miałam 6 lat matka wysłała mnie do szkoły muzycznej na lekcje fortepianu. W domu był fortepian, ojciec trochę grał. Ale ja ciągle śpiewałam, śpiewałam i nie mogłam przestać. Więc później matka w tajemnicy „szmuglowała” mnie do tej właśnie szkoły Malwiny Reissówny, abym się uczyła śpiewu.

JSG: *Czy pani rodzina też pochodziła ze Lwowa?*

JJ: Pochodzimy z wielkiego majątku koło Złoczowa. Nasz herb to Rawicz – „panna na niedźwiedziu”. Ziemie zostały nadane jeszcze przez króla Sobieskiego. Przepiękny pałac bolszewicy zniszczyli podczas pierwszej wojny światowej. Mama mnie tam zabierała, gdy byłam dziewczynką. O ile pamiętam tylko stryj tam urzędował, ojciec nie chciał pojechać. Był naukowcem. Studiował w Wiedniu. Znał języki: grekę, łacinę, naturalnie niemiecki. Ja się modliłam po niemiecku i bony miałam Niemki. Mój ojciec kochał Wiedeń. Opowiadał, jakie tam wymyślali żarty i zabawy. Studenci wszędzie są tacy sami. A mama pochodziła z Przemyślan. Uważała, że to troszkę niżej niż Złoczów. Mama była blondynką, a ojciec był szczupły i ciemny. Wyglądał troszkę na Turka, albo Tatara, w każdym razie na Azjatę. Kiedy ja urodziłam się we Lwowie, rodzice już tam mieszkali. Ojciec chciał być bliżej tej nowej, tworzącej się Polski. Nasz dom, projektowany przez kolegę ojca Karola Stryjeńskiego, (który projektował gmach Politechniki), mieścił się na ulicy Listopada. To była piękna dzielnica. Podczas wojny wszystko zginęło, fotografie, dokumenty, pamiątki.

JSG: *Po wybuchu wojny jeździła pani z zespołem Henryka Warsa od Odessy po Syberię.*

JJ: Tak, już Rosja mnie zabrała, już nie miałam nic, ani domu, ani matki, ani Lwowa, ani Polski, nic. W naszym zespole był Eugeniusz Bodo, który doskonale mówił po rosyjsku. Ja nie

miałam pojęcia o rosyjskim, śpiewałam jakąś polską piosenkę, chyba walczyka. W Odessie z naszym zespołem występowali też Żydzi, śpiewający przed wojną w różnych barach i kawiarniach. Nie rozmawiali po polsku, tylko w swoim języku – jidisz. Pamiętam z tych wędrówek po Rosji straszny głód i mróz. Nie byliśmy wprawdzie w żadnym obozie, czy łagrze, ale też było nam ciężko. Obdarci, w łachmanach, ubranie, które mieliśmy zniszczyło się, nowego nie było skąd wziąć. Ja nie miałam butów, to znaczy miałam wierzch, ale zdarła się podeszwa. A tu 40-to stopniowy mróz. Odmroziłam sobie wtedy stopy i do dziś mi dokuczają. Ale nawet w najgorszych momentach wiedzieliśmy, że mimo zimna i głodu, okreśną drogą – idziemy, idziemy do Polski. I to nas trzymało.

***JSG:** Dlatego z taką radością przyłączyliście się do polskiej armii – Drugiego Korpusu gen. Andersa. Przeszła z nią pani cały szlak bojowy, umilając życie polskim żołnierzom w tym trudnym czasie.*

JJ: Generał Anders był bardzo kochanym człowiekiem i bardzo dobrym. Jak magnes nas trzymał i opiekował się nami. Był też uroczym, pięknym mężczyzną. Miał piękne oczy, twarz i głos. Wojsko go uwielbiało, jak mówił, to wszystkie oczy zwrócone były tylko na niego. Byłam blisko niego, lubił mój śpiew. Kiedyś siedziałam z nim i jego żoną na wyścigach konnych w Bagdadzie. Darłam się w niebogłosy, tak przeżywałam to co się

działo na torach. Wtedy generał mi powiedział, żebym z tym poczekała do wieczora, na koncercie będę mogła się wykrzyczeć do mikrofonu. Generał potrafił żartować, flirtować, ale zawsze był generałem i wszyscy to wiedzieli.

***JSG:** Jak wyglądał taki koncert dla żołnierzy?*

JJ: Często o tym myślę i pamiętam bardzo wyraźnie. Na pustyni dwa tysiące żołnierzy, siedzą na piasku. Przyszli prosto z frontu (dowiedziałam się od generała). Jest ciemna noc, nic nie widać, tylko gwiazdy na niebie, scena z desek, mikrofon, harmonia, jedna żarówka i w kompletniej ciszy słyszeć głos. To ja śpiewam dla nich.

***JSG:** Swój pierwszy recital miała pani podczas wojny w Tel-Avivie.*

JJ: Tak, ja katoliczka, wychowana w klasztorze francuskim „Sacre Coeur” we Lwowie, na swoim pierwszym recitalu śpiewałam po hebrajsku. Miałam dobry słuch, to mi pomogło nauczyć się tego języka. W Tel-Avivie chodziłam na lekcje śpiewu, miałam bardzo dobrą nauczycielkę. Ale na mój pierwszy recital, nie przyszło wiele osób, to była wojna.

***JSG:** A potem były Włochy.*

JJ: Ref-Ren miał swój zespół, ja byłam w innym zespole, razem z Renatą Bogdańską, przyszłą żoną generała i jej pierwszym mężem Gwidonem Boruckim. Borucki miał bardzo ładny głos i wyszukane maniery. Był kochany i zawsze uśmiechnięty.



Wojciech Wojtecki, Jadwiga Czerwińska, Helena Kitajewicz, Janina Jasińska,
Zygmunt Zimand, Jerzy Kropiwnicki

Teatr polski w W. Brytanii

Wędrowne komediany

nie większości Polaków, roz- domkami suszy się bielizna. W dzieci, sporo przyst
na hoste- każdym kolejnym osiedlu jest Przywilejem pub
Inn. Drzewa na tle ma winejonałej jest m
nia ze sceny Zygm

Od lewej: Wojciech Wojtecki, Jadwiga Czerwińska, Helena Kitajewicz, Janina Jasińska, Zygmunt Zimand, Jerzy Kropiwnicki, fot. z książki Anny Mieszkowskiej „Ja, kabareciarz. Marian

JSG: *Po zakończeniu wojny znalazła się pani w Londynie i związała się z teatrem Hemara. Jak zapamiętała pani tę legendę kabaretu?*

JJ: Hemar był bardzo trudny, uszczypliwy, złośliwy i wymagający. Wszystko musiało być tak, jak on chciał i każdy musiał się temu podporządkować. Kiedyś Malicz powiedział, że „po scenie chodzą same Hemary”. To o czymś świadczy. Ale on nas wiele nauczył. Zwracał uwagę na piękny język, piękną składnię i jak w dramatycznym teatrze, wszystko musiało mieć swoje miejsce. Pamiętam jak zwracał mi uwagę – nie takim pięknym głosem śpiewaj, Jasiuniu. Bał się, że publiczność zwróci uwagę na mój „piękny głosik” i umkną wtedy jego intelektualne teksty, bał się o każde słowo.

JSG: *Wtedy Hemar był drugi raz żonaty z Carroll Anną Eric, która chyba nie rozumiała tych wszystkich polskojęzycznych intelektualnych i politycznych zawiłości.*

JJ: Na pewno był nie wygadany, nie mógł z żoną porozmawiać o wszystkim. Często po spektaklach czekał na mnie w ciemności. Potem spacerowaliśmy, a on opowiadał i opowiadał o sobie.

Kiedyś tak się zagadaliśmy, że minęła 10 wieczorem i zamknęli nas w parku. Myślałam, że pękne ze śmiechu, gdy go zobaczyłam, jak przełazi przez kraty.

JSG: *Jaka publiczność przychodziła na wasze przedstawienia?*

JJ: W Londynie publiczność była bardzo przyjemna, ale wymagająca. Nie mogło być tzw. chałtury, o nie. Była to wybrana publiczność, bo nie wszyscy rozumieli polityczne aluzje, ciężki humor i trudny język.

JSG: *Jak wspomina pani Anglię?*

JJ: Kocham Anglię i bardzo lubię Anglików. Po 11 latach pobytu w Londynie jestem obywatelką brytyjską. Ale Anglia, to był dla nas bardzo trudny okres. Powtarzaliśmy sobie „dojdziemy, może nie wszyscy, ale dojdziemy”.

JSG: *Do czego dojdziecie?*

JJ: Do Polski, oczywiście.



„Księżyc do wynajęcia”:
Gwidon Borucki
Zofia Terné
Stanisław Zięciakiewicz
Nina Oleńska
Mieczysław Malicz
Janina Jasińska
Stanisław Ruszała

„Księżyc do wynajęcia”, od lewej: Gwidon Borucki, Zofia Terne, Stanisław Zięciakiewicz, Nina Oleńska, Mieczysław Malicz, Janina Jasińska, Stanisław Ruszała, fot. z książki Anny Mieszkowskiej „Ja, kabareciarz. Marian Hemar”, wyd. Muza.



Marian Hemar,
Tola Korian (w środku),
Janina Jasińska (po prawej)

Marian Hemat, Tola Korian (w środku), Janina Jasińska (z prawej), fot. z książki Anny Mieszkowskiej „Ja, kabareciarz. Marian Hemar”, wyd. Muza.

JSG: W 1958 roku przyjechała pani wraz z mężem Stanisławem Lipińskim do Kanady. Pani mąż był filmowcem.

JJ: Tak. Poznaliśmy się w Egipcie. On był wychowany w Paryżu i tam kończył szkołę filmową. Potem przyjechał do Polski. Podczas wojny tak jak ja znalazł się w Drugim Korpusie gen. Andersa. Filmował w najbardziej niebezpiecznych miejscach, przy samej linii frontu. Tylko on z kamerą i asystent. Kręcił też filmy we Włoszech, pod Monte Casino, blisko akcji. Współpracował ze znanym przed wojną reżyserem – Michałem Waszyńskim.

JSG: *Występowała pani w latach 60. i 70. w Toronto, śpiewała pani na koncertach dla polskich kombatanów, dla marynarzy. Wiele osób przyjechało z Londynu i panią znało. Była pani ukochaną artystką wszystkich tych, którzy przeszli szlak bojowy.*

JJ: Tak rozeszła się szybko plotka, że tu jestem.



Jasia Jasińska w swoim apartamencie w Toronto, fot. J. Sokołowska-Gwizdka.

JSG: *Gdy w latach 90. Maria Nowotarska wraz z zespołem Salonu Muzyki i Poezji wystawiała lwowskie spektakle, była Pani honorowym gościem. Nagrany na płycie głos Hemara zapowiadał pani występ w Londynie, a potem z taśmy można było usłyszeć pani głos .*

JJ: Tak pamiętam. Słuchałam, tego, co śpiewałam w Londynie ze

wzruszeniem. Mój syn i wnuk podali mi kwiaty. To było duże przeżycie.

JSG: *Czy była pani po wojnie we Lwowie?*

JJ: Nigdy nie przyjechałam do Lwowa. Pracowałam w Radio Wolna Europa i to było niebezpieczne.

JSG: *Czy Pani tęskni za Polską?*

JJ: Właściwie już nie tęsknię. Już jestem przerobiona. A może to takie uśpienie? Amnezja?

Jasia Jasińska zmarła w 2011 roku w Sunnybrook Hospital w Toronto.

O Józefie Wittlinie



Józef Wittlin, fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe.

Z prof. Florianem Śmieją rozmawia Ewa Wielgosz

Ewa Wielgosz: Jak wyglądało Pana pierwsze spotkanie z Józefem Wittlinem? Kto je zainicjował?

Florian Śmieja: Sądzę, że były to odwiedziny w Nowym Jorku, bo z pobytu w Londynie w czasie mojej rezydencji w Anglii nie mam żadnych pewnych wspomnień. Wprawdzie w liście z 1962 roku Wittlin anonsował możliwość odwiedzin Londynu w drodze powrotnej z Hiszpanii, po wizycie u córki, ale chyba do

planowanego spotkania ze mną i kolegami, jak sugerował, nie doszło. Widzenie się w USA było moją inicjatywą, a pomógł je zrealizować Paweł Łysek, który zaprosił mnie do siebie na Long Island.

E.W.: Z jakiego powodu zaproponował Pan to spotkanie?

F.Ś.: Poznawszy w Warszawie Antoniego Słonimskiego, a potem w Londynie Kazimierza Wierzyńskiego, zauważyłem możliwość spotkania innego prominenta poetyckiej falangi poprzedniej generacji. Nie chciałem zaniedbać szansy jak to się stało wcześniej w Anglii, gdzie przegapiłem spotkanie z byłym wojewodą śląskim, Michałem Grażyńskim, który kolegował z moim Teściem, choć zdołałem odwiedzić Adama Ciołkosza. Postanowiłem więc zaproszenie do Nowego Jorku ukoronować wizytą u Józefa Wittlina, poety cenionego za troskę i obronę wartości etycznych i franciszkańskie pochylenie się nad maluczkimi.

E.W.: W Pańskim Archiwum (Archiwum Profesora Floriana Śmieji) w Bibliotece Uniwersytetu Rzeszowskiego przechowywane są cztery listy, które Wittlin napisał do Pana w latach 1959-1972. Czy poza owym przypomnianym przez Pana spotkaniem, utrzymywaliście Panowie tylko listowny kontakt?

F.Ś.: Te listy, o których Pani wspomina, zachowały się przez

przypadek i nie mogę wykluczyć, że nie było ich więcej, ale to trzeba by zweryfikować w korespondencji Wittlina.

E.W.: Jaki był główny temat Pana rozmów z autorem *Soli ziemi*?

F.Ś.: Pod kuratelą doktora Jerzego Pietrkiewicza w School of Slavonic and East European Studies w Londynie studiowałem z grupą studentów brytyjskich powieść *Sól ziemi*, pierwszą część trylogii, którą Wittlin ukończył i wydał. Oczywiście, interesował nas los reszty zamierzonej trylogii.

E.W.: Czyli podczas spotkania w Nowym Jorku zapytał Pan autora o jego plany dotyczące kontynuacji *Soli ziemi*? Jakie miał zamiary?

F.Ś.: Po tylu latach już nie powiem z pewnością, co autor orzekł, a co było ogólnie wiadome. Panowała opinia, że części drugiego tomu zaginęły w czasie nieudanej ucieczki Wittlina z Francji do Wielkiej Brytanii, że stara się on odtworzyć kontynuację, wreszcie, że trapi autora niemoc twórcza, choć części drugiego tomu wydrukowała paryska „Kultura” w 1972, a bodaj w 1995 roku w Polsce wyszła *Sól ziemi* z fragmentami kontynuacji.

E.W.: W którym roku i pod jaką nazwą dr Jerzy Pietrkiewicz prowadził zajęcia, podczas których omawiano *Sól ziemi*?

F.Ś.: Ja prowadziłem klasę byłych wojskowych, którzy uczyli się języka polskiego, by zostać attache wojskowymi. Były to lata, kiedy pomoce naukowe były liche, istniał podręcznik A. Teslara napisany, zdaje się, dla Szkotek, żon Polaków, służył za wprowadzenie do języka ze słynnym zdaniem o ordynansie, który dawał pić karemu koniowi pana pułkownika czy czymś podobnym. Lekturę wybierał Pietrkiewicz i on forował wtedy *Sól ziemi*. Wprowadził odmienną listę zalecanej lektury. Propagował Paskę, Norwida, Irzykowskiego, *Z dnia na dzień* Ferdynanda Goetla, Kasprowicza i Gabriellę Zapolską.

E.W.: Czy *Sól ziemi* stanowiła Panów lekturę obowiązkową? Należała do kanonu czy była to propozycja wykładowcy?

F.Ś.: Może tak się składało, że niezależnie od swoich walorów, powieść była dostępna na rynku.

E.W.: Czy przypomina Pan sobie kwestie, które poruszał dr Jerzy Pietrkiewicz w związku z *Solą ziemi*? Jak ją oceniał? W jaki nurt literatury wpisywał? Może pozostały jakieś skrypty, notatki z tych zajęć?

F.Ś. Za dużo czasu upłynęło i było sporo translokacji, by zachowały się jakieś rekwizyty.

E.W.: W latach 70. odwiedził Pan Wittlinów w ich nowojorskim

mieszkań. Czy w tym spotkaniu uczestniczyły inne osoby? Żona Wittlina, jego córka, wspólni znajomi Panów?

F.Ś.: W Nowym Jorku, oprócz Pawła Łyska i jego bratanka Jana, był Józef Wittlin i jego żona, Halina.

E.W.: Istnieje fotografia Pana z autorem *Soli ziemi* będąca pamiątką po owej nowojorskiej wizycie. O czym Panowie rozmawialiście podczas spotkania?

F.Ś.: Zachowały się dwie fotografie zrobione w mieszkaniu Wittlinów. Na jednej stoją Paweł Łysek, ja i Józef Wittlin, na drugiej, oprócz nas, stoi także Halina Wittlin. Na pierwszej w ręku trzymam otwarty egzemplarz kwartalnika „Oficyna Poetów i Malarzy” z wierszami Józefa Wittlina.



W mieszkaniu państwa Wittlinów w Nowym Jorku. Od lewej: Paweł Łysek, Florian Śmieja, Józef Wittlin, fot. arch. F. Śmieji.



W mieszkaniu państwa Wittlinów w Nowym Jorku. Od lewej: Józef Wittlin, Paweł Łysek, Halina Wittlin, Florian Śmieja, fot. arch. F. Śmieji.

E.W.: Jak wyglądał dom Józefa Wittlina? Czy widział Pan miejsce, w którym Wittlin pisał?

F.Ś.: Mieszkanie Wittlinów było na którymś piętrze kamienicy. Pamiętam, że jechaliśmy windą. Oba zdjęcia ukazują salon, a zarazem pracownię pisarza. Rozłożone książki nie pozwalają zdecydować, czy leżą na biurku czy na stole.

E.W.: Czy pamięta Pan legendarne już w pewnym sensie koty Wittlinów? Podobno „uczestniczyły” w każdej rozmowie (bezpośredniej i telefonicznej) gospodarzy z gośćmi, nie

pozwalając się zamknąć na ten czas w łazience?

F.Ś.: Na ten temat nie umiem , niestety, odpowiedzieć.

E.W.: We wspomnianej przeze mnie zachowanej korespondencji Panów, Wittlin pisał o odwiedzinach Jerzego S. Sity oraz lekturze utworów Adama Czerniawskiego, przekazywał na Pana ręce pozdrowienia dla nich, wyrażał nadzieję na wspólne spotkanie. Czy autor *Soli ziemi* poznał jeszcze innych Pana kolegów pisarzy?

F.Ś.: Nie wiem, czy udało się Józefowi Wittlinowi spotkać z moimi kolegami, bo to był problem przeniesienia się na drugi kontynent.

E.W.: Jaka opinia na temat twórczości Józefa Wittlina panowała wśród Pańskich kolegów współtworzących pismo „Merkuriusz Polski” i „Nowy Mercuriusz-Kontynenty”? Czy znaliście Panowie *Sól ziemi*, *Hymny*, eseje Wittlina, jego przekład Homerowej *Odysei*? Jak ocenialiście te utwory jako młodszy „koledzy po fachu”?

F.Ś.: Wymienieni koledzy już jakiś kontakt mieli. Czy jeszcze się zacieśnił, nie wiem. Znajomość dorobku naszych starszych kolegów była przypadkowa, gdyż na emigracji tylko wyjątkowo udawało się przedrukować przedwojenne książki. Rzadkie

egzemplarze były w ważnych bibliotekach, ale trzeba było być w głównych ośrodkach emigracyjnych, by z nich korzystać. Ja ceniłem wiersze Wittlina i jego przekłady Homera. Wielkie wrażenie wywołały później wydane w Paryżu eseje.

E.W.: Jakie wiersze lub eseje Wittlina pozostały w Pańskiej pamięci do dziś? Co takiego, Pan jako pisarz, uznał za wartościowe (może oryginalne) w jego poezji i eseistyce?

F.Ś.: Zapamiętałem obowiązkowe czytanie esejów rozważających dylematy emigrantów i rozmyślania egzystencjalne.

E.W.: Czy zna Pan przekłady poezji hiszpańskiej na język polski dokonane przez Józefa Wittlina? Jak Pan, jako hispanista, je ocenia?

F.Ś.: Przelotnie widziałem te przekłady, ale już nie pamiętam impresji. Pisał Wittlin, że poznał na Harvardzie Jorge Guillena, jednego z wybitnych poetów hiszpańskich i polecił mi go, sądząc, że byłbym dobrym tłumaczem.

E.W.: Józef Wittlin przełożył na język polski utwory Carlosa Bousoño (*Jan od Krzyża*), José Luisa Cano (*Piękno*), Vicente Aleixandre *Dialogi o poznawaniu. Maja i Starucha (Na corridzie)*, Francisco Brinesa (*Ostateczna samotność*), Miguela Hernandeza (*Kołysankę o cebuli*), José Hierro (*Pieśń mająca więźnia ukołysać*

do snu). Co te wybory mówią o artystycznym „smaku” tłumacza?

F.Ś.: W wyborze tych wierszy Wittlin kierował się dobrą znajomością współczesnej mu liryki.

E.W.: W naszej poprzedniej rozmowie, która odbyła się na Uniwersytecie Rzeszowskim przy okazji Sympozjum Naukowego „*Małe ojczyzny* w twórczości pisarzy emigracyjnych” powiedział Pan, że „Wittlin to był moralny człowiek”. Skąd ten wniosek? Jakim człowiekiem jest Józef Wittlin z Pańskich wspomnień?

F.Ś.: Spotkałem człowieka uduchowionego i delikatnego, wywołującego wielkie poszanowanie. Niewiele brakowało, a byłbym go na pożegnanie pocałował w rękę z respektu.

Prowokowanie

wyobraźni. Leszek Wyczółkowski.



Leszek Wyczółkowski w pracowni, fot. Lynn Wyczółkowski.

Joanna Sokołowska-Gwizdka: Pod koniec 2015 roku wyszedł album „Beyond Geometry. The Art of Leszek Wyczolkowski” wieńczący wiele lat Twojej pracy artystycznej. Pierwsza część pokazuje twórczość graficzną i malarską, a druga – to

imponująca historia wystaw w Polsce i za granicą.

Leszek Wyczółkowski: Po latach pracy artystycznej na polu graficznym i malarskim, wielu prestiżowych wystawach w salach muzealnych i galeriach publicznych, przyszedł czas na swego rodzaju podsumowanie i reminiscencję. Jedną z form wyrażającą te osiągnięcia jest publikacja albumu.

Był to dla mnie bardzo pasjonujący temat, od koncepcji i projektu, aż do przygotowania do druku (zaowocowały doświadczenia wyniesione z kartografii). Nad projektem tym spędziłem prawie trzy lata. Zmieniała się zarówno forma projektu graficznego i merytorycznego, jak i wielkość publikacji.

W ostatecznej wersji przedstawiłem trzy główne tematy – malarstwo, grafikę i ekspozycje. Wszystkie działy są poprzedzone szeregiem małych zdjęć charakteryzujących dany rozdział i stanowiących jakby symboliczną zapowiedź następnych stronic. Autorką zdjęć jest moja żona Lynn, która od wielu lat dokumentuje moją działalność artystyczną. Żona brała też udział w projektowaniu i redagowaniu tego albumu. Pomocą służyła również moja córka Nadine, która napisała wstęp i zrobiła korektę.

Kompozycja albumu dostarczyła mi wiele wyzwań i dała dużo satysfakcji. Starłem się, aby zachować płynność oglądania,

element niespodzianki i poczucie niedosytu. Chciałem, żeby album nie był nudny.

Cieszę się z tego albumu, bo podsumował wiele lat mojej twórczości. Dał możliwość spojrzenia z dystansu na moją własną sztukę. I choć nie mogę na niego patrzeć bez emocji, to jednak stał się on punktem wyjścia do następnych poszukiwań i odkryć.

JSG: Jesteś grafikiem i malarzem, czy te dziedziny się dopełniają?

LW: Absolutnie tak. Podczas czasu spędzonego nad płótnem rodzą się często nowe pomysły graficzne. A gdy pracuję nad grafikami, doznaję inspiracji – bodźca do pracy malarskiej. Tak więc z nowymi siłami i pomysłami przenoszę się na inne, acz podobne środki wyrazu. One się uzupełniają i dają szansę pełniejszej wypowiedzi.

JSG: Twoje grafiki to świat harmonii, koloru i symetrii. Dominuje porządek, estetyka i piękno formy. Co cię fascynuje w geometrii przetworzonej przez Twoją wyobraźnię?

LW: Szczególnie w grafikach warsztat jest podstawą i podporą wyobraźni. Prawdopodobnie moje poprzednie związki z kartografią i geodezją, które oparte są na matematyce, geometrii i precyzji, mają wpływ na moje inklinacje ku geometrii. Szukam

w niej balansu, porównań i harmonii. Zestawiam skrajnie odmienne formy i struktury, a wszystko pod kątem odmiennych perspektyw/skal. Jest to gra emocji i intelektu, która mnie bawi i dostarcza wiele radości.

JSG: Przerwałeś studia na Wydziale Grafiki w Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie i zdecydowałeś się na wyjazd z kraju. Czy dlatego, że utrudniano ci studia ze względu na nazwisko?

LW: Ironią losu można określić moje przerwane w połowie studia na Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie i przyjazd do Kanady. Przecież na upragnioną ASP dostałem się dopiero za czwartym razem i to bez dodatkowych „punktów za pochodzenie”. A nazwisko, które mogło gwarantować sukces, nie tylko ekonomiczny, po studiach stało się przeszkodą wręcz nie do pokonania.

JSG: Opowiedz, jak rozwijała się Twoja kariera jako artysty w Kanadzie.

LW: Kanada zrobiła na mnie duże wrażenie, pod względem przyrody. Wielkie, czyste przestrzenie, piękne lasy, jeziora, góry i wybrzeża. Reszta niestety do tej pory jest dla mnie, jako artysty, rozczarowaniem. Niemniej starałem się i nadal to czynię stawiać czoła niesprzyjającym warunkom.

Po przyjeździe kontynuowałem studia na Ontario College of Art. Miałem szczęście poznać wielu pomocnych i życzliwych ludzi. To dodawało mi otuchy, energii i zapału do rozwijania mojej twórczości. Dużo wystawiałem i wystawiam. Dużo również podróżowałem. Wielokrotnie przejechałem Kanadę i Stany Zjednoczone Ameryki.

Przez wiele lat byłem reprezentowany w Nowym Jorku i San Francisco przez bardzo prestiżową galerię. Miało to również pozytywny wpływ na moją sytuację na rynku kanadyjskim. Jednak krach finansowy 2008 roku niekorzystnie odbił się na rynku sztuki.

JSG: Po transformacji w Polsce w latach 90-tych miałeś pierwszą od wyjazdu z kraju wystawę i to w Muzeum Narodowym w Krakowie. Jak byłeś wtedy odebrany przez środowisko artystyczne?

LW: Wystawę tę wspominam bardzo mile. Muzeum Narodowe w Krakowie jest jednym z najbardziej prestiżowych Muzeów, cieszących się najwyższą reputacją. Byłem pierwszym z żyjących grafików, którego spotkał zaszczyt autorskiej wystawy.

Wystawa była licznie odwiedzana przez środowisko artystyczne. Na wernisaż przyjechało wielu przyjaciół i znajomych. Z Warszawy przyjechał mój były profesor historii sztuki z ASP,

Maciej Gutowski. Podczas otwarcia wystawy udzielił on wspaniałego wywiadu do krakowskiej TVP na temat mojej twórczości graficznej. Przez lata utrzymywałem z nim miły kontakt. Każda moja podróż do Polski nie mogła obyć się bez spotkania, pokazu nowych prac, wymiany opinii i spostrzeżeń. Profesor Gutowski imponował mi wiedzą, intelektem i erudycją. Szkoda, że odszedł tak wcześnie.

JSG: Od tej pory masz regularny kontakt z Polską i wystawy w prestiżowych miejscach.

LW: Lubię wystawiać w Polsce. Jest to nie tylko pretekst do odwiedzin Ojczyzny, ale też okazja do prezentacji moich najnowszych prac. Poza tym jest dla kogo wystawiać. Sztuka w Polsce jest na wysokim poziomie i szczególnie starsza grupa społeczeństwa docenia jej wartości. Przez ostatnie lata miałem przyjemność i zaszczyt prezentować moje prace graficzne w wielu polskich muzeach i prestiżowych galeriach.

JSG: Twoje prace były pokazywane w Austrii, Belgii, Francji, Grecji, Holandii, Japonii, Kanadzie, Malezji, Stanach Zjednoczonych, Szwecji, Wielkiej Brytanii czy we Włoszech. Są w wielu znanych galeriach, muzeach i zbiorach prywatnych. Czy myślisz, że wyjazd z Polski dał ci rozmach, świeży oddech, spojrzenie na polską historię kultury z perspektywy?

LW: Emigracja wyzwoliła ukrytą energię, zmusiła mnie do działań, których prawdopodobnie nigdy bym nie podjął. Emigracja stymuluje, umożliwia porównania i obserwacje z dystansu.

JSG: Jaki wpływ na Twoją twórczość ma polskie dziedzictwo artystyczne?

LW: Staram się nie „zapożyczać” od innych. Niemniej jednak wyrastałem na najlepszych wzorcach. Przecież dokonania artystów Młodej Polski to eksplozja wielkich talentów. Artystyczne wychowanie tkwi później w podświadomości. Czasy się zmieniły, formy przekazu również. Ale osiągnięcia i doświadczenia innych dają solidną bazę, fundament. Polska sztuka miała wiele silnych indywidualności, które stymulują i prowokują do podejmowania ryzyka w poszukiwaniu i odkrywaniu własnej drogi.

JSG: Razem z mieszkającym w Polsce bratem Zbigniewem, pasjonujecie się historią słynnego przodka, Leona Wyczółkowskiego. Szukacie śladów po nim, jeździcie na wystawy i do miejsc, gdzie malowane były słynne obrazy, jak np. do majątku, w którym odbywała się „Gra w krokiet”. Czy odkryliście jakieś nieznane historykom sztuki fakty, lub ciekawostki?

LW: Często przez przypadek natrafiamy na miejsca związane z Leonem Wyczółkowskim. Kilka lat temu po mojej wystawie w Lublinie pojechaliśmy do dworku na drodze do Warszawy, gdzie Leon Wyczółkowski robił szkice i malował „Grę w krokieta”. Innym razem dostaliśmy zaproszenie na uroczystość odsłonięcia tablicy pamiątkowej w Poznaniu, gdzie malarz przez jakiś czas mieszkał. W tym roku uczestniczyliśmy w otwarciu wystawy prac Leona Wyczółkowskiego w Muzeum w Kwidzynie, zorganizowanej przez Muzeum Okręgowe im. Leona Wyczółkowskiego w Bydgoszczy. Mój brat Zbigniew odwiedzał lasy i rezerваты cisów w okolicach Bydgoszczy, gdzie Leon Wyczółkowski pod koniec życia portretował tamtejsze drzewa i przyrodę, tak znane z jego rysunków i litografii. Duma rozpiera serce i jest miło zwiedzać i smakować organizowane wystawy w polskich muzeach, gdzie często prace malarza grają wiodącą rolę.

JSG: Kim jest dla Ciebie Leon Wyczółkowski?

LW: Zawsze był dla mnie wzorem artysty. Osiągnął mistrzostwo w każdym okresie jego twórczości i w każdej technice. Wielka wyobraźnia, energia artystyczna, ciekawość odkrywcy, optymizm, a wszystko wsparte wspaniałym warsztatem. Oglądanie jego prac w wielu wypadkach powoduje niezwykle uczucie lewitacji, dostaje się przysłowiowej „gęsiej skóry”. Jest on dla mnie postacią wręcz mistyczną.

JSG: Twój ojciec Witold, też był artystą. Opowiedz o swoim domu rodzinnym.

LW: Od dzieciństwa podziwiałem mojego ojca za wszystko, zwłaszcza za jego talenty artystyczne. Szczególnie za mistrzostwo w portretowaniu. Już jako kilkuletni chłopiec asystowałem mu podczas seansów i notowałem w pamięci jego uwagi i wskazówki, którymi szczerze obdarowywał mnie przez całe życie. Asystowałem też ojcu w plenerach. Pierwsze moje prace to były kopie ojca płócien. Dopiero później, jak poczułem się pewniej, samodzielnie malowałem obserwowany i przeżywany krajobraz.

Oprócz rysunku i malarstwa ojciec uczył mnie liternictwa. Szczególnie kaligrafii. W okresie wakacji zapisywałem całe zeszyty. Za dobre rezultaty byłem nagradzany nie zabawkami, czy słodyczami, ale pędzelkami i to nie byle jakimi, ale firmy Winsor & Newton. W latach 50-tych i 60-tych były to rarytasy. Do dzisiaj mam ich kilka. Te nabyte umiejętności pomagały mi w doskonaleniu warsztatu.

Od ojca dostałem album o twórczości Leonarda Da Vinci, wydanie niemieckie z 1939 roku, z reprodukcjami jego wszystkich, znanych w tym czasie prac. Był to mój elementarz. Od dziecka uczyłem się sztuk pięknych na wzorach z tego albumu. Przez całe życie miałem w ojcu doradcę i podporę w

moich artystycznych poczynaniach.

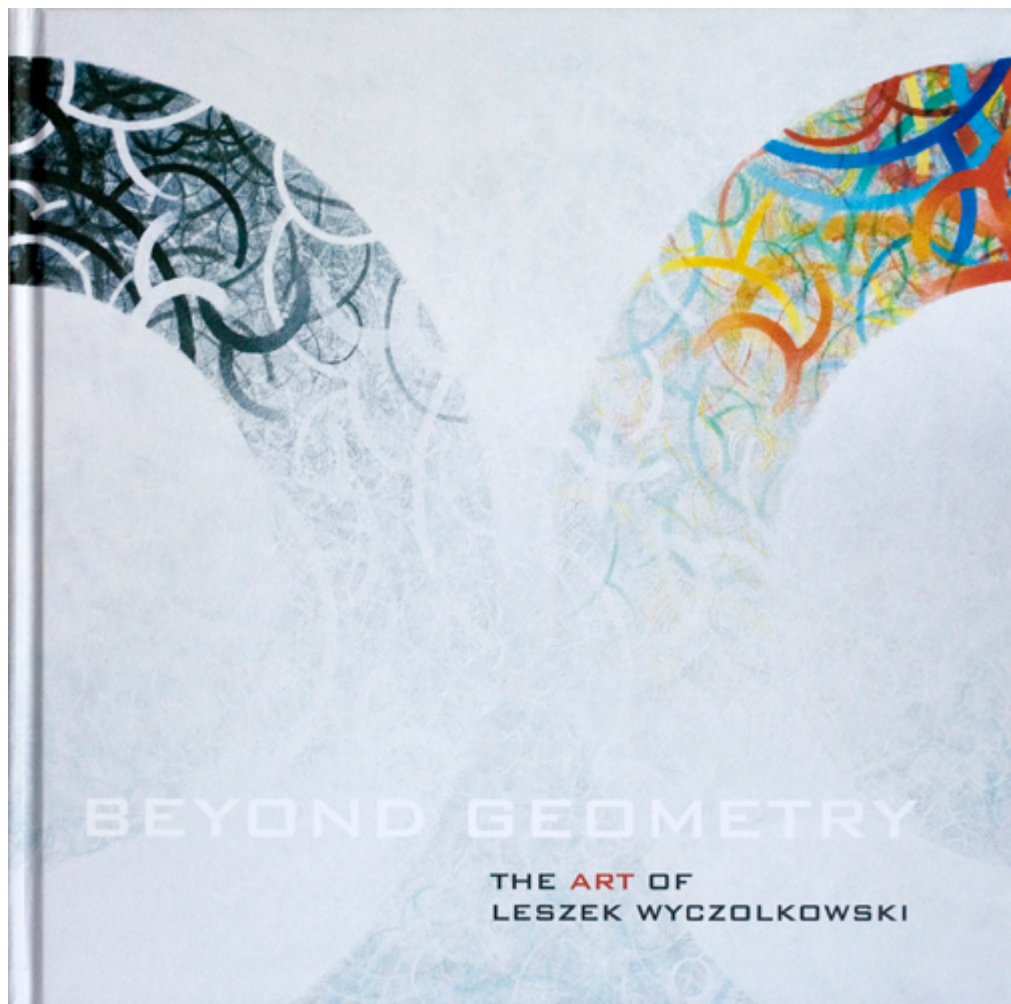
Moja mama Janina, która była nauczycielką i projektantką mody, też miała wpływ na artystyczną atmosferę w domu. Była bardzo wymagającym pierwszym „krytykiem” ojca prac. A że była osobą bardzo praktyczną, często słyszałem jak mówiła do ojca: „nie maluj w tych kolorach. To się nie sprzeda”, lub: „nie powtarzaj tej kompozycji, już to widziałam”. Co do mnie, to uczyła mnie w dzieciństwie języka francuskiego (niewiele już pamiętam). Śledziła i nadzorowała moje szkolne poczynania. Za jej namową skończyłem Technikum Geodezyjne. Stwierdziła, że wystarczy w rodzinie artystów i przed artystycznymi studiami muszę zdobyć „konkretny zawód”. To w przyszłości miało wpływ na moją artystyczną drogę.

Rodzice tworzyli ciepłą i rodzinną atmosferę. Byli naszymi wzorcami. Z bratem mieliśmy wspaniałe dzieciństwo w kochającym się otoczeniu. Zostały wspaniałe wspomnienia, które nawołują nas, aby postępować w życiu SZLACHETNIE.

JSG: Czy czujesz się spełnionym artystą?

LW: Myślę, że artystą spełnionym zostanę, gdy już nie będę w stanie wypowiedzieć czegoś istotnego i nowego w mojej sztuce. Kiedy wyczerpie się twórcza wyobraźnia. Ale teraz cieszy mnie, że mogę nadal prowokować wyobraźnię odbiorcy i zaskakiwać

samego siebie. A to dla mnie bardzo ważne.



Boginii tańca.

Bronisława Niżyńska.



Ewa Stachniak, fot. Mark Reynes Roberts

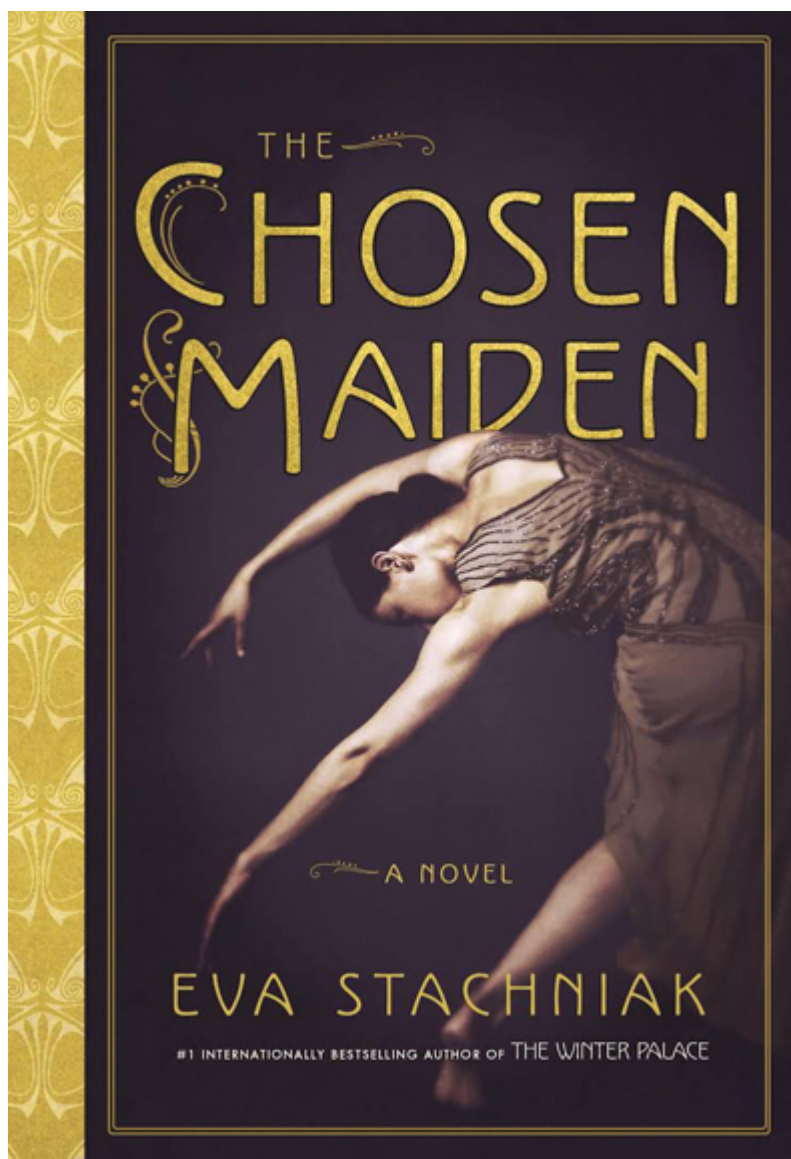
Joanna Sokołowska-Gwizdka: W styczniu w Kanadzie ukazała się Pani najnowsza książka „The Chosen Maiden”. Polska premiera „Bogini tańca” planowana jest na maj tego roku. Co zafascynowało Panią w słynnej tancerce Bronisławie Niżyńskiej, że zajęła się Pani tą postacią?

Ewa Stachniak: Przede wszystkim jej niezwykła siła i zaangażowanie w sztukę, której poświęciła życie. W jej pokoleniu kobiet, nie było to aż tak częste, choć Bronisława dojrzewała wśród światowej sławy baletnic, takich jak Anna Pawłowa, Tamara Karsavina, czy Matylda Krzesińska. Poza tym była córką polskich tancerzy którzy wyjechali do Rosji „za chlebem” i zawsze żyli na granicy kultur. Zafrapowało mnie także, że na całym jej życiu zaważył cień sławy brata. Wacław, Bóg Tańca, jak o nim mówiono, od dziecka uznawany był za wyjątkowy talent. Jego młodsza siostra wiele się od niego nauczyła, ale aby stać się dojrzałą artystką musiała poszukać własnej artystycznej drogi. I to właśnie zrobiła.

JSG: Wacław Niżyński był postacią tragiczną, pogrążony w chorobie psychicznej trzydzieści lat spędził w zakładach zamkniętych. Pod koniec lat 90. ukazał się w Anglii jego „Dziennik”, bez skrótów dokonanych wcześniej przez jego żonę, pisany pomiędzy ostatnim występem a rozpoczęciem leczenia. Publikacja ta spowodowała falę zainteresowania Wacławem Niżyńskim, jego geniuszem i tragizmem. Czy zwiększyło się też wtedy zainteresowanie jego siostrą Bronisławą?

ES: Interesowano się nią już dużo wcześniej. *Wspomnienia* Bronisławy Niżyńskiej – skompletowane jeszcze w 1971 roku, ukazały się w 1981 roku, 9 lat po jej śmierci i spotkały się z dużym zainteresowaniem. Świat baletu nigdy o niej nie

zapomniał, choć dotychczas nie zdobyła powszechnej popularności. W USA, Lynn Garafola, z Barnard College, pracuje obecnie nad biografią Niżyńskiej, może więc jesteśmy świadkami zmian?



JSG: Z „Dziennika” Wacława Niżyńskiego wynika, jak dużą rolę w jego życiu odgrywała siostra. Czy słynny tancerz był dla Bronisławy tym samym, czym ona dla niego?

ES: Był dla niej nauczycielem, mentorem, inspiracją, partnerem. Wyrastali razem, mieli bardzo podobne zrozumienie baletu. Byli dla siebie artystyczną inspiracją. Różnica polegała na tym, że Wacław naznaczony sławą tak wcześnie w swoim życiu i starszy od siostry o prawie dwa lata, przez długi czas ją wyprzedzał. Musiała uwolnić się od jego wpływu, znaleźć własny głos, rozwinąć własne wizje. Udało jej się to dopiero w rewolucyjnej Rosji, w Kijowie, gdzie znalazła się w samym sercu modernistycznej rosyjskiej awangardy.

JSG: Wybrana na ofiarę – to rola w drugiej części „Święta wiosny” Igora Strawieńskiego, słynnym balecie, wystawionym przez Balety Rosyjskie Siergieja Diaghilewa w 1913 roku, z choreografią Wacława Niżyńskiego. Dziewczyna ginie w tańcu, dzięki czemu przyroda budzi się do życia. Wybraną miała zatańczyć Bronisława Niżyńska, ale ostatecznie rolę tę otrzymała Maria Piltz. Czy tytuł książki „The Chosen Maiden” ma być metaforą życia słynnej tancerki?

ES: To, że nie mogła zatańczyć Wybranej w 1913 roku było dla Bronisławy ciosem. Nie zatańczyła, bo była w ciąży i ta rola mogła kosztować życie jej nienarodzonego dziecka. Szkoda że tak się stało, ale rzeczywiście Wybrana ma w mojej powieści wiele znaczeń. To nie tylko słynna rola czy ofiara złożona budzącej się do życia ziemi. Bronisława została wybrana by stać się pełnoprawną artystką, by rozwinąć swój własny styl, stworzyć

balety, które przeszły do historii.

JSG: Bronisława Niżyńska oprócz współpracy z Diaghilevem, miała własny zespół baletowy w Kijowie, była baletmistrem i choreografem Polskiego Baletu Reprezentacyjnego, założyła szkołę baletową w Los Angeles, współpracowała z American Ballet Theatre, kierowała też Buffalo Ballet Theater. Czy można powiedzieć, że artystka odniosła światowy sukces?



Bronisława
Niżyńska, fot.
Gordon Anthony,
1937 r.

ES: Zdecydowanie. Była i jest uznanym choreografem i jedną z

pierwszych kobiet, która zdobyła międzynarodowe uznanie. Do tej listy dorzuciłabym jeszcze Teatro Colon w Argentynie, który nigdy nie ukrywał, że to Bronisława Niżyńska stworzyła podwaliny argentyńskiego baletu.

JSG: Jak układało się jej życie prywatne?

ES: Miała dwóch mężów. Pierwszy, Sasza Koczetowski, zostawił ją z dwójką małych dzieci w Kijowie w 1921 roku. Drugi, Kola Singajewski, który był uczniem Szkoły Ruchu, jak nazywała się kijowska szkoła tańca Bronisławy Niżyńskiej, był jej oddany aż do jego śmierci w 1968 roku. Broni wielką, choć niezrealizowaną, miłością, nie był jednak ani Koczetowski ani Singajewski, a Fiodor Szalapin, wielki rosyjski śpiewak operowy. Przeżyła wiele osobistych tragedii, ale także wiele radości. Miała ciekawe życie.

JSG: Wacław Niżyński mówił, że czuje się Polakiem, mimo, że słabo mówi po polsku. Czy Bronisława Niżyńska też czuła się związana z Polską?

ES: Oboje wychowali się w polskim domu. I Wacław i Bronia zostali ochrzczeni w Warszawie. W 1928 roku kiedy Bronia pracowała w Argentynie, pisała do matki listy po polsku. W 1937 roku, została baletmistrem w Teatrze Wielkim i choć angaż ten nie zakończył się po jej myśli, jej polski okres był bardzo owocny. Polskość była dla niej sprawą osobistą, rodzinną. Nie afiszowała

się z nią, ale też nigdy nie starała się umniejszyć jej znaczenia.

JSG: „The Chosen Maiden”, tak jak inne Pani książki jest powieścią historyczną. Na ile jest tam faktów, a na ile fikcji?

ES: Bardzo się staram by moje powieści oparte były na historycznych faktach. Pracując nad powieścią korzystałam z archiwalnej kolekcji w Bibliotece Kongresu w Waszyngtonie. *The Bronislava Nijnska Collection* zawiera pokaźną kolekcję notatek, listów, pamiętników i zdjęć – wszystkie te materiały posłużyły mi jako źródła. Poza tym rozmawiałam z tancerzami i choreografami, starając się poznać tajniki ich pracy. Fikcją jest moja tych faktów interpretacja.

JSG: Czy i z tą postacią się Pani „zaprzyjaźniła”?

ES: Bardzo. Stała się moją przewodniczką po świecie współczesnego baletu, nauczyła mnie patrzeć na taniec oczyma choreografa. Przeżywałam z nią jej radości i jej tragedie. Była mi też bliska, gdyż wychowywały mnie kobiety pokroju Broni i jej matki: odważne, naznaczone historią, silne. Moja babcia nie była dokładnie rówieśniczką Broni ale należały do tego samego pokolenia kobiet, które nie mogły sobie pozwolić na słabość bo przetrwanie ich rodzin spoczywało na ich barkach.



Bronisława Niżyńska w balecie „Les biches”,
1924 r., fot. pinterest.

JSG: Do jakich miejsc związanych z Bronisławą Niżyńską dotarła Pani zbierając materiały do książki?

ES: Paryż, Wenecja, Monte Carlo, Nicea, Normandia, Warszawa, wszędzie, gdzie Balety Rosyjskie odnosiły swoje największe sukcesy, gdzie powstawały choreograficzne arcydzieła Wacława i Bronisławy. Odwiedzałam teatry, w których pracowała, sceny na których tańczyła, chodziłam ulicami, przy których mieszkała. Do

Wenecji przyciągnął mnie Diaghilev, na wyspę San Michele, gdzie jest pochowany i na Lido gdzie zatrzymywał się podczas każdego pobytu w Wenecji.

JSG: Książka ukazała się już w Niemczech, będzie też polskie wydanie, Czy są plany dotarcia do innych krajów?

ES: „Bogini tańca” ukaże się we Włoszech, inne plany są jeszcze w trakcie negocjacji.



Ewa Stachniak przy rzeźbie przedstawiającej parę tancerzy –
rodzeństwo Wacława i Bronisławę Niżyńskich w balecie
„Popołudnie fauna”. Rzeźba stoi w Teatrze Wielkim w

Warszawie.



Tłumaczka z pasją.

Nina Krygier- Michalak.



Nina Krygier-Michalak

Joanna Sokołowska-Gwizdka: Powieść „Kto widział wiatr” będąca debiutem pisarskim kanadyjskiego powieściopisarza, dramaturga i satyryka Williama O. Mitchella wydana po raz pierwszy w 1947 roku od razu stała się bestsellerem. Znalazła się w lekturze szkolnej, na jej podstawie nakręcono film. Dopiero po 60 latach zainteresowało się wydaniem kanadyjskiej powieści w pani tłumaczeniu polskie wydawnictwo MUZA. Jak długo starała się pani zainteresować wydawnictwa w Polsce tą książką?

Nina Krygier-Michalak: Około czterech lat. Jest to żmudny proces zwłaszcza kiedy nie jest się na miejscu, tzn. w Polsce i nie ma się na tamtym rynku ugruntowanej pozycji jako tłumacz. Bywało, oczywiście, że całymi miesiącami nic się nie działo, byłam zajęta inną pracą, sprawami rodzinnymi. Kiedy wybrałam się na Krajowe Targi Książki w Warszawie biorąc ze sobą piękne, albumowe wydanie, MUZA była jednym z wydawnictw, które obejrzały książkę i przywiezione przeze mnie dodatkowe materiały. No i widocznie coś musiało się im w tym wszystkim spodobać.

Jednym z powodów, dlaczego książka czekała na polskiego czytelnika od 60 lat jest zapewne fakt, że sam autor chyba nie za bardzo zabiegał o tłumaczenie jej na inne języki. Za jego życia ukazała się jedynie wersja francuska. Dopiero w ostatnich latach książka została przetłumaczona także na koreański i włoski. Z kolei jeśli nawet Polak będący tłumaczem przeczytał ją w

oryginalne, to zapewne rezygnował w przedbiegach, bojąc się piętrzących trudności związanych ze znalezieniem wydawcy i perspektywą pracy bardziej prestiżowej niż zarobkowej.

JSG: Jak podeszli do wydania powieści w Polsce spadkobiercy autora?

NKM: Spadkobierców spuścizny literackiej pisarza, którymi o ile mi wiadomo są jego dzieci: dwóch synów i córka, nie poznałam jeszcze osobiście, chociaż mam nadzieję, że to wkrótce nastąpi, zwłaszcza po zapięciu na ostatni guzik wszystkich warunków umowy i podpisaniu ostatecznej wersji. Przez cztery lata byłam w kontakcie internetowym z jednym z synów. Orm Mitchell wykłada literaturę kanadyjską na uniwersytecie w Trenton w prowincji Ontario. Kontakty z nim były sporadyczne i raczej oficjalne, aczkolwiek ostatnio otrzymałam miłe i ciepłe słowa podzięki za upór w dążeniu do wydania polskiego tłumaczenia dzieła jego ojca.

JSG: Dlaczego pani zapragnęła przetłumaczyć tę właśnie powieść? Co według Pani stanowi o jej wartości?

NKM: Nie jestem krytykiem literackim, więc nie wiem według jakich kryteriów dana książka zasłużyła sobie na miano arcydzieła. „Kto widział wiatr” – nawet jeśli nie uzna się jej za arcydzieło – należy z pewnością do tzw. bardzo dobrej literatury.

Osadzona w realiach kanadyjskiej prerii lat 30. XX w. opowiada dzieje chłopca zgłębiającego tajniki życia. Tłem dla przygód chłopca są losy mieszkańców małego miasteczka w prowincji Saskatchewan i roztaczająca się wokół bezbrzeżna kanadyjska preria. Co ujmuje w niej najbardziej to prosty, a jednocześnie poetycki i pełen humoru język, którym autor posługuje się zarówno opisując sprawy przyziemne, zwykłe, jak i pokazując sprawy wielkie, takie jak stosunek człowieka do przyrody, czy też problem wolności indywidualnej a odpowiedzialności przed społeczeństwem. To chyba pierwsza rzecz, która bardzo mi się w tej książce podoba – umiejętność połączenia kontrastujących ze sobą elementów: powagi z humorem, prozy z poezją, czyli jej uniwersalizm. Dzięki temu książka może podobać się zarówno osiemnastolatkowi, jak i osiemdziesięciolatkowi. Druga rzecz to od pierwszych kartek książki fascynujący proces całkowitego utożsamienia się z głównym bohaterem, który jest przecież dzieckiem i trzeba się czasem uszczypnąć, by zdać sobie sprawę z relacji bohater – czytelnik. Stanowi to, według mnie, o absolutnym autentyzmie powieści.

JSG: Czy trudno jest przenieść na język polski klimat międzywojennej kanadyjskiej prerii w prowincji Saskatchewan i losów poznającego życie młodego chłopca? Czy natrafiła pani na jakieś szczególne trudności podczas tłumaczenia?

NKM: Trudności tłumaczeniowe wynikają między innymi z

uproszczonego, czy też lekko gwarowego języka, jakim posługują się niektórzy bohaterowie. Najczęściej jednak to po prostu jest to kwestia innej struktury zdania, czy też zbitek językowych, funkcjonujących w angielskim np. jako przymiotniki, nie mające bezpośrednich odpowiedników w języku polskim, które trzeba zgrabnie rozpisać. „Black-eyed Susan” to w polskim po prostu „czarnooka Zuzanna”, ale spróbujmy przetłumaczyć „three-gaited horse”, koń idący raz stępą, raz kłusem, raz galopem. Jak zrobić z tego przymiotnikowego „konia o trzech chodach”?

JSG: Jak to jest, gdy spędza się wiele czasu z jedną powieścią. Czy „zaprzyjaźniła się” pani z jej bohaterami? Czy oni stali się częścią pani świata?

NKM: Kilka lat po przeczytaniu książki pamięta się ciągle przezabawne scenki. Z bohaterem nie tyle się zaprzyjaźniłam, co po prostu, jak już wspomniałam wcześniej, stał się on częścią mnie. Zresztą każdy z nas, mimo upływu lat, z łatwością może przenieść się w świat dzieciństwa, świat pierwszych fascynacji zapachami, barwami, smakami, świat zadziwienia i zdumienia. I ta książka właśnie ten świat przybliża, czy też jak kto woli, na nowo odkrywa.

JSG: Skończyła pani Studium Języków Obcych na Uniwersytecie Warszawskim, ze specjalnością językoznawstwo stosowane. W Kanadzie pracuje Pani jako tłumacz od 1984 roku. Czy

tłumaczenie literatury to pani hobby, pasja?

NKM: I jedno i drugie. Hobby, dlatego, że w kanadyjskich warunkach (choć może i w polskich również), nie ma możliwości poświęcenia się całkowicie tłumaczeniu literatury, zwłaszcza wartościowej. Jest to rzecz wielce nie intratna, a życie ma swoje prawa. Pasja, bo od zawsze fascynowało mnie słowo. Jeszcze kiedy mając 12-13 lat nie znałam żadnego obcego języka i namiętnie rozwiązywałam krzyżówki i fascynowała mnie zabawa na zasadzie: jak to można inaczej nazwać, czy wyszukiwanie obcych słów – angielskie piwo „Ale”, australijski misio „koala” itp.

JSG: Tłumaczy pani literaturę nie tylko z języka angielskiego na język polski, ale i odwrotnie, z języka polskiego na język angielski. Takim tłumaczeniem był np. zbiór wywiadów Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm pt. „Korzenie są polskie”. Na jaki język woli pani tłumaczyć? Proszę opowiedzieć coś więcej o „Korzeniach...”, czy np. trudno jest oddać różne polskie zawiłości historyczne w języku angielskim?

NKM: Ogólnie powiedziawszy, łatwiej tłumaczyć z obcego języka na język ojczysty, w którym się wyrosło, ukończyło szkołę. Tłumaczenie odwrotne, z języka ojczystego na obcy, wymaga jeszcze większego nakładu pracy, a ostateczna wersja musi być koniecznie sprawdzona przez tzw. native speaker. Najlepiej, tak

jak ja to robię szczególnie przy tekstach literackich, przez osobę nie mającą żadnych naleciałości językowych, nie znającą obcych języków i poruszającą się tylko i wyłącznie w obrębie języka angielskiego. Poza tym proces jest podobny: pierwsza wersja, niezgrabna, siermiężna, dosłowna, by nie uronić żadnego niuansu. Drugi etap ja nazywam przy tłumaczeniach z angielskiego na polski „przekładaniem z polskiego na nasze”, czyli obróbka językowa, szlifowanie, polerowanie, wygładzanie zdań, prawie tak jak przy obróbce drogocennych kamieni. „Korzenie” to była dla mnie przede wszystkim wielka lekcja historii: ta galeria wybitnych postaci z kanadyjskiego i amerykańskiego podwórka, wielu z pokolenia „niezłomnych” z ogromnym bagażem doświadczeń przedwojennych, wojennych i powojennych. Oprócz bardziej znanych postaci jak Czesław Miłosz czy Zbigniew Brzeziński, na kartach książki znalazł się m.in. Janusz Żurkowski, wybitny pilot doświadczalny, którego nazwisko trafiło do Encyklopedii Kanadyjskiej. Trudności językowych nie brakowało. Przez długi czas głowiliśmy się z panem Koglerem – ówczesnym dyrektorem Polsko-Kanadyjskiego Instytutu Badawczego, który zlecił mi tłumaczenie – jak najlepiej przełożyć na angielski słowo: „niezłomni”. Ja zaproponowałam „indomitable”, on nie był do końca przekonany, ale ostatecznie ta wersja poszła do druku. „Indomitable” znaczy dosłownie „nieposkromiony, niezwyciężony, niepokonany”, ale w angielskim często używa się go z rzeczownikiem „spirit”, „indomitable spirit”, i to właśnie jest to, człowiek niezłomnego

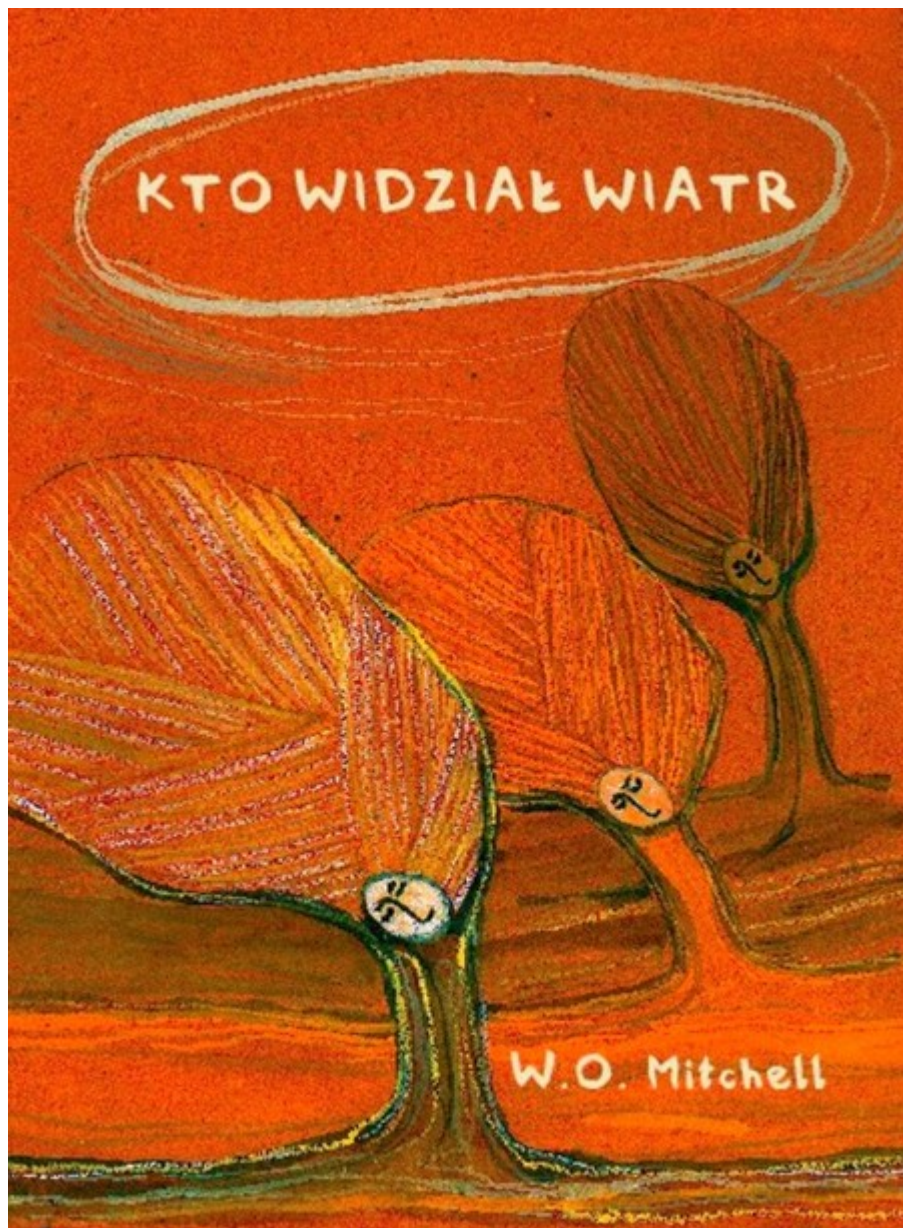
ducha.

JSG: Kiedy i z jakiego powodu znalazła się pani w Kanadzie? Czy czuje się tu pani u siebie?

NKM: Z kraju nie wygnała mnie ani bieda, ani prześladowania polityczne. Z mężem, Kanadyjczykiem polskiego pochodzenia, poznaliśmy się we Francji mając po 21 lat. Jego polski był wtedy słaby, mój angielski – żaden. Kilka następnych lat to długie, cotygodniowe listy (obydwoje nieźle znaliśmy już wtedy francuski), rzadkie spotkania, tęsknota i.... paszportowa gehenna. Kiedy w wieku 25 lat postanowiliśmy się pobrać, było mi obojętne gdzie jadę: najważniejsze było być razem. Z perspektywy czasu widzę jakie miałam szczęście. Przyjechałam do kraju zamożnego, do rodziny męża, która przyjęła mnie z otwartymi ramionami, znającej język polski i pielęgnującej polskie tradycje. Po prawie 30 latach trudno nie czuć się u siebie, w jakimkolwiek chyba kraju. Wszystko zaczyna nas wiązać: rodzina, dzieci, grono przyjaciół, praca, dom, sposób spędzania wolnego czasu, coraz więcej znajomych, wydeptanych ścieżek. Z Polską mam bardzo żywe kontakty, często odwiedzam tam przyjaciół i rodzinę, przez Internet ciągle słucham różnych polskich rozgłośni radiowych.

JSG: Czy jest jeszcze jakaś książka, która chciałaby pani przetłumaczyć?

NKM: Syn autora wspomniał, że jest dalszy ciąg dziejów bohatera, luźno połączony z pierwszym tomem (trochę na zasadzie „Ani z zielonego wzgórza”). Zobaczymy.



*W.O. Mitchell, Kto widział wiatr, tłum. Nina Krygier-Michalak,
wyd. Muza 2008 r.*

Nina Krygier-Michalak jest tłumaczką z zawodu i z

zamiłowania. W 1975 roku ukończyła Studium Języków Obcych na Uniwersytecie Warszawskim, ze specjalizacją - językoznawstwo stosowane. Posiada również tytuł tłumacza dyplomowanego (certified translator) przyznany przez Kanadyjskie Stowarzyszenie Tłumaczy (Association of Translators and Interpreters of Ontario). Posługuje się językami obcymi: angielskim, francuskim, hiszpańskim. W Kanadzie pracuje jako tłumacz od 1984 roku. Jej pionierska praca przybliżająca różne sprawy z życia politycznego, społecznego, ekonomicznego i kulturalnego, pokazywała różnice między Polską i Kanadą. Aby przybliżyć Polakom Kanadę, Nina Michalak opracowała dla polskiej sekcji Radio Canada International, 30 krótkich historii, opartych na francuskich i angielskich materiałach źródłowych, dotyczących różnych aspektów życia w Kanadzie. Na początku lat 90. na zlecenie Kongresu Polonii Kanadyjskiej oraz Polsko-Kanadyjskiego Ośrodka Naukowo-Badawczego, pracowała nad serią esejów historycznych na temat wkładu Polaków w społeczeństwo kanadyjskie. Jednym z najważniejszych projektów było przetłumaczenie wybranych rozdziałów książki z okazji 50-lecia Kongresu Polonii Kanadyjskiej, wydanej w 1996 roku (Half a Century of Canadian Polish Congress). Ostatnią większą przetłumaczoną pozycją, jest zbiór wywiadów pióra Aleksandry Ziółkowskiej-Bohem pod tytułem „Korzenie są polskie”. Przedstawieni w niej zostali wybitni Polacy, mieszkający w Kanadzie i Stanach, tacy jak np. pilot Janusz Żurkowski czy doradca do spraw zagranicznych

prezydenta Jimmy'ego Cartera, Zbigniew Brzeziński. (Pierwsze wydanie w 1999 r., drugie w kwietniu 2004).

Władysław Teodor Benda – artysta, którego pokochała Ameryka

Rozmowa z Anną Rudek-Śmiechowską, autorką pionierskiej książki o Władysławie Teodorze Bendzie, bratanku Heleny Modrzejewskiej, wybitnym ilustratorze, twórcy amerykańskich masek.

 **Joanna Sokołowska-Gwizdka:** Co zafascynowało Panią we Władysławie Teodorze Bendzie, że zdecydowała się Pani zająć tą

postacią?

Anna Rudek-Śmiechowska: Odpowiadając na to pytanie, muszę cofnąć się do czasu studiów, które odbywałam w pięknym Lublinie. Studiowałam historię sztuki. Szukając tematu na seminarium magisterskie postanowiłam sięgnąć po dzieje polskiej emigracji artystycznej w Stanach Zjednoczonych. Wybór kontynentu i tematu był niejako oczywisty.

Ze względów rodzinnych bywałam za Oceanem wielokrotnie, głównie w Nowym Jorku. Miasto, ludzie, kultura, historia – niesamowicie mnie fascynowały. Poznałam tamtejsze środowisko artystów i kolekcjonerów, tak polskich, jak i amerykańskich. Oglądałam dzieła sztuki, słuchałam ciekawych opowieści, obcowałam z wydarzeniami i śladami historii. Wiedziałam, że kultura i sztuka tworzona przez Polaków w Ameryce jest ciekawa i znacząca, niemniej niezbyt dobrze opracowana przez historyków sztuki. Wśród artystów działających w Stanach Zjednoczonych istnieją ci wybitni, którzy zostali zauważeni i docenieni, ale i ci, którym los nie rozdał dobrych kart. Wielu z nich zasługuje jednak na uwagę i rzetelne studia.

Najpierw zdecydowałam się na opracowanie dziejów PAAS, czyli Polish American Artist Society. Było to stowarzyszenie, które działało w Nowym Jorku w latach 1985-1991. Niezwykłe postaci, ciekawe założenie, ambitne plany, niestety nieco smutne

zakończenie. Obecnie pracuję nad książką poświęconą temu zjawisku, więc nie będę zdradzać wszystkich szczegółów. O PAAS powstała moja praca magisterska. Rozprawę napisałam pod opieką prof. Jana Wiktora Sienkiewicza, który zajmuje się polską emigracją artystyczną (poświęcił wiele swoich studiów naukowych emigracji polskiej w Anglii). Po obronie profesor zasugerował, abym zastanowiła się nad doktoratem i poszukała odpowiedniego tematu.

Kilka miesięcy później, będąc z wizytą w Nowym Jorku, namówiona przez ojca, poszłam na wystawę do Fundacji Kościuszkowskiej, w której pokazywano urywek dokonań W. T. Benda. Po obejrzeniu jego prac zaczęłam szukać książek, opracowań i... nie znalazłam nic. Kilka informacji, kilka artykułów. Wtedy postanowiłam zająć się postacią W. T. Benda i przywrócić pamięć o nim.

JSG: Benda uczył się w Krakowie i w Wiedniu. Był malarzem, rzeźbiarzem, ilustratorem. Czy długą drogę musiał przejść, zanim w Ameryce doceniono jego europejskie wykształcenie i talent?



W. T. Benda, [Mężczyzna z fajką],
rysunek, zbiory Ann Taylor, fot.
ARS.

ARS: Do wymienionych miejsc nauki należy dodać również Amerykę, gdzie W.T. Benda podjął edukację artystyczną w trzech placówkach. Pierwszą z nich był kalifornijski Mark Hopkins Institute of Art, potem już znaczące nowojorskie placówki, czyli Chase Art School (założona przez samego Williama Merritta Chase'a) i Art Students League. O Chase Art School warto wspomnieć kilka zdań, gdyż tam W.T. Benda uczęszczał na nauki do jednego z najpopularniejszych artystów amerykańskiej awangardy, a mianowicie do klasy prowadzonej przez Roberta

Henriego, twórcy tzw. The Ashcan School – Szkoły Śmieciarzy. Wśród kolegów szkolnych byli: George Bellows, Rockwell Kent, John French Sloan, Walter Pach, Walter Biggs, Walter E. Tittle. W.T. Benda wspominał, że „była to niezwykła klasa”, co nie ulega wątpliwości, zważając choćby na postać nauczyciela, który był wielbionym przez studentów mistrzem.

Zaczynając jednak od początku, to W.T. Benda zaczynał edukację artystyczną w Krakowie w Szkole Sztuk Pięknych (dzisiejsza Akademia), ale trwało to zaledwie dwa semestry. Zachowały się jego świadectwa, w których dobrą opinię o uczniu wydaje m.in. Władysław Łuszczkiewicz. Wydaje mi się jednak, że dużo więcej zyskał na naukach w Wiedniu, w prywatnej szkole sztuk pięknych Heinricha Strehblowa, gdzie zdobył umiejętność posługiwania się techniką rysunku węgłem – tak podziwianą i zaskakującą w jego późniejszej karierze.

Na nowym kontynencie artysta dosyć szybko znalazł zlecenia i pracę. Jego podpisy jako ilustratora znalazłam już w rysunkach z 1904 roku, a więc niecałe pięć lat po przyjeździe do Ameryki. Myślę, że znaczącą rolę w tej kwestii odegrała ciotka Helena Modrzejewska i przetarte przez nią szlaki. Tak więc nie wydaje mi się, aby jego amerykańska droga była specjalnie trudna, jeśli chodzi o początki. Niemniej wymagała od niego rzetelności, pracowitości, kontaktów z Amerykanami (a więc i nauki języka), ponadto nieustannego doskonalenia umiejętności, wiary we

własny talent. Myślę, że W.T. Benda należy do tych artystów, którzy choć urodzeni w Polsce, to należą do Ameryki, która ich pokochała i niejako adoptowała.

JSG: W.T. Benda syn muzyka Szymona Bendy – przyrodniego brata wielkiej aktorki Heleny Modrzejewskiej, przyjechał do Stanów Zjednoczonych wraz z rodzicami i siostrami na zaproszenie ciotki w 1889 roku. Pierwsze zlecenie pochodziło od Heleny Modrzejewskiej, która poprosiła go o zaprojektowanie scenografii i kostiumów do „Antoniusza i Kleopatry”. Jak potem potoczyła się samodzielna kariera artysty?

ARŚ: Pierwszym przystankiem na nowym kontynencie była siedziba Modrzejewskiej w Arden. Stamtąd W.T. Benda przeniósł się do Los Angeles, potem do San Francisco i w końcu do Nowego Jorku. O tym, że ciotka pomagała bratankowi na początku amerykańskiej wędrówki, świadczy kilka faktów. W Muzeum Narodowym w Poznaniu znajdują się rysunki sygnowane przez W.T. Bendę (datowane na 1899 rok), które przedstawiają kostiumy kobiece do sztuk teatralnych i były przygotowywane dla Heleny Modrzejewskiej. W jednym z listów Heleny Modrzejewskiej do męża Karola Chłapowskiego znalazłam informację, że Władzio (jak nazywała go ciotka) założył „atelier” czyli studio rysunku w Los Angeles i ciotka mu w tym pomagała. Niemniej artysta nie był zależny od Modrzejewskiej, szybko odnalazł się w nowej rzeczywistości i

zyskał uznanie.

Przede wszystkim ilustrował książki, gazety, magazyny. Był bardzo znanym i często zatrudnianym ilustratorem. W 1913 roku w wywiadzie dla „Metropolitan” przyznawał, że jest to jego „główne zajęcie”. Badając życie i twórczość artysty udało się ustalić, że jego prace ukazały się w ponad dwudziestu tytułach prasowych (w latach 1903-1943), ponadto rysunki zdobiły liczne książki, plakaty, ulotki, manifesty. Tworzył dla gigantów, ale i małych gazetek drukowanych na bardzo kiepskim jakościowo papierze. Wśród tytułów wymienić należy choćby: „Hearst’s International”, „Cosmopolitan”, „Life”, „Scribner’s”, „McClure’s”. Tworzył też niezwykle maski, które przyczyniły się do rozwoju jego kariery, a w czasie wielkiego kryzysu stały się jednym ze sposobów na utrzymanie.



W. T. Benda, niezidentyfikowana maska, zbiory Ann Taylor, fot.
ARS.



W. T. Benda, Maska Golden Goddess, zbiory Ann Taylor, fot.
ARS.



W. T. Benda, Maska The Old Wag, zbiory Ann Taylor, fot. ARS.



W. T. Benda, Maska The Miser, zbiory Ann Taylor, fot. ARS.

JSG: Maski – to była wyjątkowa dziedzina twórczości Benda. Zaczęło się od tego, że znajomi zaprosili go na bal maskowy, podczas którego założona przez niego maska wzbudziła niemały zachwyt. Poświęca Pani dużo miejsca w swojej książce maskom, uznając je za odrębną gałąź sztuki. Na czym polegał fenomen masek W.T. Benda?

ARŚ: W. T. Benda był nie tylko jednym z filarów ilustracji amerykańskiej, ale i „ojcem amerykańskich masek”. Sam nazywał je swoimi „papierowymi dziećmi”. Dlatego też w książce, która z założenia jest monografią życia i twórczości

artysty, poświęcam maskom tyle miejsca, ile ilustracjom. W pewnym momencie zupełnie przypadkiem, W. T. Benda zaczął tworzyć maski, szybko jednak stał się wielkim znawcą tematu, wybitnym ekspertem.

Jego prace wykorzystywał sam J.M. Anderson w swoich nowojorskich rewiach, zdobyły one niejedną okładkę czasopism (nie tylko dotyczącą teatru), były też np. rekwizytami fotograficznej sesji mody tworzonej dla magazynu „Vogue”, pojawiały się w filmach, telewizji, ale i powieściach czy nowelkach (jako określenie tajemniczego wyrazu twarzy). W.T. Benda do dziś uważany jest za eksperta w tej dziedzinie, a nazwisko jego wymienia się w opracowaniach o maskach, pantomimie, czy rewiach.

Znaczenie, ale i niespotykaną dotychczas wagę działania W.T. Benda w świecie masek świetnie zilustrował słowami przyjaciela twórcy, a naczelny magazynu „Vanity Fair” – Frank Crowninshield, który napisał: „Benda dokonał tego, co mógł zrobić tylko prawdziwy artysta. Ożywiając starą sztukę, wymyślił nową”. Maski W.T. Benda były w Ameryce (ale i na świecie) czymś nowym, a raczej nowatorskim w stylu. Odniosły wielki sukces ze względu na popularność teatru i rewii w tamtym czasie.

W historii sztuki bezsprzecznie należy je uznać za unikat i

fenomen swoich czasów. Choć powstały przypadkiem, jako atrybut na bal maskowy, to w ciągu wielu lat pracy nad nimi oraz dzięki popularności jaką zyskały na scenach (nieomal całego świata) „fałszywe twarze” W.T. Bandy stały się jedną z piękniejszych gałęzi sztuki. Oparte na tradycji japońskich masek „No”, teatralnych maskach greckich i rzymskich, maskach pośmiertnych, tradycyjnych maskach rytualnych z Afryki czy Ameryki, były zupełnie inne, nowe i dotychczas niespotykane. Miały wielką siłę oddziaływania, ale i tak charakterystyczną dla W.T. Bandy delikatność, tajemniczość i romantyzm.

JSG: Czy artysta stosował specjalne techniki wytwarzania masek?



W. T. Benda ze swoimi maskami,
fotografia (1920), zbiory
prywatne, fot. ARS.

ARS: Wszystkie maski tworzył wg własnych, autorskich technik. Pracował nad sposobem ich powstawania, doborem odpowiednich materiałów, ale i warsztatem, dwadzieścia lat. Stworzenie jednej maski wymagało od niego kilku miesięcy pracy. Zaczynał od studiów natury, potem robił szkice, dalej już rysunki i projekty, konstruował korpusy (m.in. z drutów, z

tektury), dalej nakładał na nie skrawki papieru i odpowiednio malował, impregnował. Maski służyły głównie teatrowi, tak więc wymagały odpowiedniego zabezpieczenia od potu tancerek, czy częstego dotykania. Tutaj najlepszym sposobem, jaki znalazł W.T. Benda, było pokrywanie warstwami złota. Podczas złocenia, którego dokonywał w swoim studio, wyganiał z pomieszczenia żonę, córki i kota, ponieważ każdy nawet najmniejszy podmuch mógł zniszczyć ten cenny materiał.

Całą swoją wiedzę o maskach (ich historii i sposobie tworzenia) zamknął w autorskiej książce „Masks”, gdzie opisał wszystkie działania z charakterystyczną rzetelnością (książkę można czasem znaleźć i kupić przez internet). Z tego co udało mi się ustalić nie miał następców, uczniów. Było kilku naśladowców (wśród nich tancerka Margaret Severn), ale żadnemu nie udało się stworzyć tak pięknych i doskonałych masek jak W.T. Bendzie.

Maska aktorki Katharine Hepburn, była jedną z nielicznych masek-portretów. W. T. Benda tworzył głównie maski nie będące realnymi postaciami. Interesowały go raczej zbiory cech, typów ludzkich lub przedstawienia mogące obrazować jakieś wydarzenia, tańce czy opowieści. Tworzył fantazyjne demony, twarze ilustrujące stereotypy lub będące wyobrażeniem jakichś cech, rodzajów ludzkich, typów np. delikatne kobiety, gentlemanów czy mężczyzn z podkreślonymi cechami przynależnymi ich stanowi np. „Wojewoda” o wielkich

sumiastych wąsach.

JSG: Wiele znanych magazynów, wykorzystywało na okładkach ilustracje autorstwa W. T. Benda. Były to głównie wizerunki kobiet. Czy to właśnie maski oraz okładki top magazynów tak go rozśławiły w Ameryce?

ARŚ: W.T. Benda przede wszystkim był znanym ilustratorem, a uznanym twórcą masek teatralnych stał się dopiero po 1914 roku. Niemniej te dwie różne dziedziny determinowały osiągnięcia artysty. Dodatkowo W.T. Benda był projektantem, scenografem, aktorem, pisarzem, ale i malarzem. Uznanie jakim się cieszył miało związek oczywiście z jego talentem i umiejętnościami technicznymi, ale wiązało się również z tym, że pracował właśnie w Stanach Zjednoczonych i to w okresie tzw. „Złotej Ery Ilustracji Amerykańskiej” i wielkiej popularności rewii.

Wpisał się doskonale w zawód ilustratora. Miał wyczucie do tematów, stylu i estetyki, która wówczas obowiązywała- stąd tak często występujące w jego twórczości czy na okładkach portrety kobiet. Miał również odpowiedni charakter. Współpracował np. z magazynem „McClures”, w redakcji którego nazywany był „czarnym koniem”. Określenie to oznaczało, że można było na nim polegać zlecając mu zadania nawet z dnia na dzień. Wykonywał je rzetelnie, zawsze o czasie, z wielką pasją i

profesjonalizmem. Jak chodzi o rewie dużo dało mu to, z jakiej pochodził rodziny (ojciec był muzykiem), ale i to, że miał niezwykle wyczucie i dar oddawania kobiecego piękna, a także to, że stworzył niespotykane dotychczas maski o specyficznym wyrazie.

JSG: Portrety kobiet, które tworzył Benda znacznie różniły się od wystylizowanego, słodkiego wizerunku, który był wcześniej rozpowszechniony. Artysta zdobył uznanie jako znawca kobiet, czego wyrazem było zaproszenie, do komisji jurorów w wyborach Miss America. Co takiego nowego było w wizerunkach kobiet stworzonych przez Bendę?

ARŚ: Wydaje mi się, że rola jurora w konkursach Miss America była raczej związana ze znajomościami artysty i jego pozycją w towarzystwie. Dzięki pracy jaką wykonywał znał wiele ważnych osobistości, wśród których wymienić można choćby: potentata prasowego Williama Hearsta, redaktora naczelnego „Vanity Fair” Franka Crowninshilda, reżysera rewii J.M. Andersona. Bywali u niego sam I.J. Paderewski czy Władysław Reymont, spotykał się z innymi ilustratorami w tym z Ch. D. Gibsonem. Może dlatego został zaangażowany jako członek jury?!



W. T. Benda, Zobeida from Syria,
reprodukcja ilustracji, zbiory
prywatne, fot. ARS.

Portrety kobiet zaś, to nawiązanie do trendu w sztuce amerykańskiej, a także wymogów rynku ilustracji i magazynów. Portrety były domeną sztuki amerykańskiej oraz obowiązującym

tematem okładek, reklam. „Kobiety Bendy” cechował charakter jego kreski. Każdy ilustrator, zwłaszcza ten już uznany i popularny (czyli często angażowany do pracy) posiada swój specyficzny sposób rysowania, dosyć łatwy do rozpoznania. Analizując postaci kobiet sygnowane ręką W.T. Bendy uważa się, że były bardziej ludzkie, naturalne, ale i tajemnicze, pełne subtelności, kobiecego wdzięku. W wielu przypadkach W. T. Benda ilustrował postaci emigrantek, nieco innych od wizerunków białych Amerykanek, które tworzył choćby król ilustratorów słynny Charles Dana Gibson. Na wiele ilustracji W.T. Bendy trzeba patrzeć przez pryzmat obowiązującej mody i estetyki kraju, w którym powstały, choć nie determinuje to oczywiście oceny i możliwości podziwiania jego prac przez „zwykłych śmiertelników”.

Jedną z moich ulubionych ilustracji stworzonych przez W. T. Bendę jest portret syryjskiej kobiety o imieniu Zobieda, narysowany dla „The Century Magazine” w 1913 roku. Dziewczyna siedzi podparta, kieruje swój wzrok prosto na widza. Jej głowę oplata turban, rękę zdobi bransoletka. Twarz nie jest posągowa, okładkowa, jest zwyczajna, a zarazem mistyczna, ciekawa, wzbudzająca emocje, wywołująca huragan myśli. Wydaje mi się nieraz, jakby coś chciała do mnie powiedzieć. Jakby miała zamiar mnie zaczepić, a ja przegapiłam właśnie ten moment. Praca jest równie subtelna w detalach, jak i samej kresce. Lubię na nią patrzeć, bo wydaje mi się, że stanowi

syntezę możliwości W. T. Bendy i świadectwo jego talentu oraz pewnej magii – przynależnej każdemu wybitnemu artyście – którą roztaczał tworząc swoje dzieła. Nie jest to jego najlepsza ilustracja, ale jest ciekawa, zaczepna.

Lubię też portrety w stylu art deco, w tym okładka magazynu „Life” z lutego 1923 roku, czy „Saturday Evening Post” z maja 1934 roku. Charakteryzujący je odpowiedni dobór kolorów, subtelność portretowanych twarzy, delikatność kreski, wysmakowana estetyka.

JSG: Dlaczego prace węglem wykonywane przez W.T. Bendę były powodem zdziwienia?

ARŚ: Leicester B. Holland będący szefem Division of Fine Arts Biblioteki Kongresu pisał w 1933 roku, w jednym z listów do W.T. Bendy: „Pana prace dotarły do mnie jakiś czas temu i wreszcie miałem szansę przyjrzeć się im dokładnie. (...) Co ciekawe, nadal zaskakuje mnie, że wykonane zostały węglem. Włada pan tym narzędziem w tak malarski sposób, że nieświadomie myślę o nich jako o wykonanych pędzlem – widok oryginałów tego nie zmienił. Dobrze wiem, że wykonane zostały węglem, jednak nie mogę oprzeć się wrażeniu, że są namalowane” – i nie był w tej opinii osamotniony.

Przyznać trzeba, że W.T. Benda był mistrzem rysunku węglem.

Jego prace wykonane tą techniką są niesamowite. Mistrzowski sposób kładzenia kreski, światłocien, zakłęty ruch i wydobywana głębia – wszystko to tworzy doskonałe rysunki, dzieła które w odpowiedni sposób wydobywają konkretną treść. W Ameryce była to technika niecodzienna, ponadto dosyć trudna w utrzymaniu, konserwacji.

Niemniej W.T. Benda posługiwał się też ołówkiem, gwaszem, piórkiem, ale i pastelami, akwarelą, był też malarzem, rzeźbiarzem i projektantem – i w tych pracach wykorzystywał przynależne im techniki.

JSG: W.T. Benda brał czynny udział w akcji Ignacego Jana Paderewskiego, zachęcającej do wstępowania w szeregi armii. Wśród plakatów informacyjnych jest wiele jego autorstwa. Jakże poza tym były związki artysty z Polską?



W. T. Benda, [Dziewczyna w zielonej chuście], rysunek, zbiory Ann Taylor, fot. ARS.

ARS: W.T. Benda urodził się w Polsce, w Poznaniu. Spędził w nadwiślańskim kraju prawie 25 lat. Ponadto był bratankiem Heleny Modrzejewskiej, a ona mimo pozycji i szczęścia jakie zdobyła w Ameryce, często w Polsce bywała oraz działała na rzecz ojczyzny. Podobnie było w przypadku W.T. Benda. Wracił kilka razy do Polski z wizytami – bywał w Zakopanem (te wizyty zapisały się w pamięci jego córki Eleonory, ale i w opublikowanych autorskich opowiadaniach artysty), był na pogrzebie ciotki Modrzejewskiej w Krakowie. W Nowym Jorku

W.T. Benda przyjmował polskich gości m.in. Władysława Reymonta, Zdzisława Dębickiego z „Tygodnika Ilustrowanego”. Z I.J. Paderewskim współpracował na rzecz Polski tworząc liczne plakaty rekrutacyjne oraz skierowane do społeczeństwa w celu zapewnienia pomocy ofiarom I i II wojny. Miał związki z Fundacją Kościuszkowską itd.

Podsumowując jego bezpośrednie związki z Polską trzeba powiedzieć, że były to tylko krótkie odwiedziny. Polska stała się dla niego wyłącznie krajem przodków, krajem pochodzenia. Podkreślam jednak, że nigdy nie odcinał się od Polski, zawsze wspominał, że jest Polakiem. Uważał ją za swoją ojczyznę, podtrzymywał kontakty z Polakami, bywał w kraju, ale co ważniejsze korzystał z polskich motywów, symbolii pewnych cech, które objawiają się w jego pracach poprzez umiejętność oddania romantycznej atmosfery, emocji, pewnej tajemniczości. Niemniej nie wydaje mi się, aby był z Polską jakoś bardzo związany i tęsknił za krajem dzieciństwa. Pochłonęła go Ameryka, zawładnął nim Nowy Jork. W. T. Benda stał się jedną z bardziej lśniących gwiazd zamieszkującej go ławicy. W tym kontekście podobny był do swojego kuzyna, konstruktora mostów, Rudolfa Modrzejewskiego (Ralph Modjeski), syna Heleny Modrzejewskiej.

JSG: Pani praca jest pionierska, nie było wcześniej tak dogłębnego opracowania życia i twórczości tego niezwykłego

artysty. Zebrała Pani ogromny materiał, zarówno w Polsce, jak i w Ameryce. Jak długo trwało poszukiwanie materiałów?

ARŚ: Kiedy zainteresowałam się postacią W.T. Bandy okazało się, że artysta nie doczekał się monografii, czy choćby szerszych studiów. Było to dla mnie wielkie zaskoczenie. Na jego temat powstało kilka (dosłownie) artykułów i wzmianek biograficznych. Pierwsze prace zaczęłam już w 2008 roku, przygotowałam tzw. stan badań, gdzie zebrałam istniejące artykuły m.in. dr Marioli Szydłowskiej i dr Marka Pohlada. Potem starałam się o stypendium Fundacji Kościuszkowskiej na badania. Grant otrzymałam w 2009 roku, dzięki czemu mogłam spędzić trzy miesiące w Stanach Zjednoczonych poszukując śladów artysty.

Opracowywanie zebranych materiałów zabrało mi pięć lat. Wtedy skończyłam doktorat, którego tematem był właśnie W.T. Benda, a która to praca powstała pod opieką prof. dr hab. Andrzeja K. Olszewskiego. Pracę obroniłam na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu w 2014 roku, a niecałe dwa lata później wydałam książkę – pierwszą w historii monografię życia i twórczości W.T. Bandy. Jeśli liczyć wszystko razem – od przekroczenia progu Fundacji Kościuszkowskiej w celu zobaczenia wystawy, po otrzymanie autorskiej książki do rąk własnych – praca zajęła mi prawie 9 lat.

JSG: Pisz Pani, że nawiązała kontakt z rodziną artysty. Proszę o

tym opowiedzieć?

ARŚ: O rodzinie artysty wiedziałam z tekstu Marioli Szydłowskiej, która opisała W.T. Bendę w swojej książce poświęconej artystom urodzonym w Polsce, a działającym w Ameryce w teatrach i biznesie filmowym (M. Szydłowska, Między Broadwayem a Hollywood. Szkice o artystach z Polski w Stanach Zjednoczonych, 2009). Ona poinformowała mnie o miejscu ich zamieszkania. Kiedy zdecydowałam się napisać doktorat o W.T. Bendzie i pozyskać na to grant z Fundacji Kościuszkowskiej nawiązałam z nimi kontakt e-mailowy, dokładnie z wnuczką artysty Ann Taylor. Bardzo przychylnie zareagowała ona na moje listy i zaoferowała pomoc.

Po przyjeździe do Nowego Jorku skontaktowałam się z nią telefonicznie i zostałam zaproszona do nich na Święto Dziękczynienia. Podczas tego spotkania poznałam córkę artysty Eleonor Benda Bostelmann Shimmler oraz prawnuki (synów Ann Taylor). Potem jeszcze kilka razy gościłam u nich oglądając prace Bendi i fotografując prawie wszystkie materiały jakie udało im się wyciągnąć z licznych pudełek, słuchałam opowieści i informacji jakie posiadają. Byłam też w domu Eleonor, gdzie mogłam podziwiać prace jej ojca i zamienić z jego córką kilka znaczących słów, a także usłyszeć wspomnienia o człowieku, którego tak bardzo, bardzo kochała. Eleonor nie doczekała już publikacji o ojcu, zmarła w 2014 roku.



W.T. Benda, Kobieta z maską, okładka Life Magazine, 1922 r.

JSG: Czy rodzina WT Benda ma świadomość polskich korzeni, zna polską historię i postać Heleny Modrzejewskiej?

ARŚ: Rodzina bardzo ceni sobie i dba o twórczość artysty. To niezwykle mili i otwarci ludzie. Po wielu latach pracy nad

książką, kiedy otrzymali ode mnie egzemplarz, niezmiernie się ucieszyli. Ann Taylor napisała do mnie wówczas: „Dziękuję Ci bardzo za poświęcenie czasu na poznanie mojego dziadka. Moja mama byłaby bardzo zadowolona, że zachwyciłaś się jej ukochanym tatą”.

Zarówno wnuczka, jak i jej synowie, a więc prawnuki W.T. Benda znają postać dziadka, wiedzą, że był Polakiem, że jego ciotką była sławną Heleną Modrzejewską. Jeden z nich – Thatcher – studiował nawet teatrologię i zorganizował pradziadkowi kilka wystaw. Niemniej rodzina W.T. Benda to Amerykanie, którzy nie byli w Polsce i nie czują już mocnego związku z krajem swoich przodków. Szanują W.T. Benda i szczerzą się nim, ale bez podkreślania jego polskości. Dla nich to nieznany świat.

JSG: Na czym polega niezwykłość W.T. Benda?

ARŚ: W.T. Benda był dobrym artystą, z wielką wyobraźnią, świetnym warsztatem i udanym życiem rodzinnym, towarzyskim i zawodowym. Raczej nie mówiłabym o niezwykłości, bo można mówić, że był niezwykły, gdyż jako artysta miał tylko jedną ukochaną żonę..., a może ze względu na to, że szybko zasymilował się z amerykańskim społeczeństwem i znalazł w nowym kraju własną ścieżkę artystyczną..., a może był niezwykły z powodu swojego poczucia humoru, czy też z powodu tworzenia niezwykle realistycznych masek. Powiedziałabym raczej, że był

dobrym i uznanym artystą ilustratorem i twórcą masek teatralnych, z którego możemy być dumni jako Polacy.

JSG: W.T. Benda zmarł na zawał w 1948 roku przed wystąpieniem na temat masek, które miał wygłosić w Newark Public School of Fine and Industrial Art w New Jersey, gdzie pracował jako nauczyciel rysunku. Czy w Ameryce się o nim pamięta?

ARŚ: W.T. Benda był artystą plastykiem, uprawiającym dwie niszowe dziedziny sztuki (dziedziny, czasem nawet nie zaliczane do sztuk pięknych). Nie można więc mówić o jego wielkiej popularności. W.T. Benda był znany i popularny w latach, w których tworzył. Wielki kryzys, pojawienie się fotografii, zmiany jakie przyniosły wojna światowa, w tym pojawienie się w Ameryce przedstawicieli europejskiej awangardy (kubistów, ekspresjonistów itp.) a więc zmiana estetyki i stylu w sztuce, spowodowały, że postać artysty została schowana do głębokiej szuflady.

Jego popularność liczyć powinniśmy sukcesami i liczbą okładek jakie zilustrował w czasach największej świetności prasy (jego prace znalazły się w ponad 20 tytułach) oraz tym, jakie ceny dzisiaj osiągają jego nielicznie pojawiające się prace. Ceni się go w kręgach znawców ilustracji i środowiskach teatralnych. W tym kontekście bezsprzecznie można mówić o jego popularności i o

tym, że jest doceniany jako artysta i to doceniany w wielkiej i niedoścignionej Ameryce.

Anna Rudek-Śmiechowska, Władysław Teodor Benda, wyd. Universitas, Kraków 2016.

Pisarz nie jest
właścicielem piękna



Christian Teodorescu, fot. mat. prasowe.

Rozmowa z rumuńskim pisarzem Cristianem Teodoresc o tragikomizmie w życiu i literaturze oraz o utraconej pamięci i jej odzyskiwaniu.

Barbara Lekarczyk-Cisek: Pańska książka "Medgidia miasto u kresu" zrobiła na mnie wielkie wrażenie i choć czytałam ją przed rokiem, utkwiły mi w pamięci liczne obrazy. Jednym z nich są papryczki Januszka - jednego z Pańskich bohaterów. Po

przeczytaniu tej historii, papryczki już na zawsze będą mi się kojarzyć z tą opowieścią. Proszę mi przy okazji zdradzić, czy Januszek jest postacią fikcyjną, czy ma swój pierwowzór i czy rzeczywiście zmarł po spożyciu pięćdziesięciu ostrych papryk...

Cristian Teodorescu: Prawdziwy Januszek wielokrotnie zjadał taką ilość papryczek i wygrywał zakłady, ale w tym przypadku jednak naprawdę stracił życie.

BLC: Dla mnie ta historia jest – jak w przypadku innych Pana bohaterów – przykładem ironii losu. Kiedy spodziewamy się (a może pragniemy) jakiegoś pozytywnego zakończenia, sprawy przybierają zgoła tragiczny obrót.

CT: A czy w ogóle możliwe jest życie inne niż tragikomiczne..?

BLC: Ale dla starożytnych Greków było tragiczne.

CT: To prawda, że Grecy nie mieszała tragizmu z komizmem. Prawdopodobnie jedynym zwornikiem był chór antyczny, który komentował wydarzenia na różne sposoby. Moim zdaniem, ten tragikomizm jest naszą daniną, którą musimy oddać jednemu Bogu, który się ostał w naszej kulturze. W starożytności bogów było wielu. W "Imieniu róży" Umberto Eco występuje postać, która nie lubi się śmiać: brat Jorge z Burgos. Ukrywał traktat Arystotelesa o komizmie, przekonany o destrukcyjnej sile

śmiechu. Gdybyśmy tak samo myśleli, skutki tego byłyby równie tragiczne, jak w powieści Eco.

BLC: We wstępie do swojej powieści podkreśla Pan rolę prawdy, która została wymazana z pamięci narodu oraz istnienie białych plam w historii Rumunii. A z drugiej strony pragnie Pan opowiadać piękne historie: o swoich dziadkach, o swoim mieście... Która z tych motywacji była silniejsza?

CT: Obie te motywacje były równie silne. Część opisanych przeze mnie historii jest prawdziwa, część wymyślona, ale w obu przypadkach chodziło o to, aby jak najbardziej zbliżyć się do prawdy o tamtych czasach. A że przy okazji są to ładne opowieści, to już nie moja zasługa, tylko tego kogoś "z góry". Pisarz nie jest właścicielem piękna, raczej jego depozytariuszem. Trudno też jest jednoznacznie odpowiedzieć na pytanie, czy tego typu opowieści są w stanie przyczynić się do odzyskania zbiorowej pamięci. Mam jednak nadzieję, że przynajmniej mieszkańcy Medgidii, którzy przeczytali książkę, dowiedzieli się czegoś o nieznanej im kompletnie historii miasta.

BLC: Jednak sposób opowiadania historii jest już dla pisarza charakterystyczny. Język Pana opowieści jest dla mnie wprost niezwykły, co jest zapewne także zasługą dobrego tłumacza, bo przecież nie znam oryginału.

CT: No cóż, czasami bywa tak, że tłumacz jest bardziej utalentowany niż autor (śmiech).

BLC: Nie przesadzajmy. Sam pomysł, układ opowiadań, które są rodzajem mikrokosmosów, bo każde opowiadanie ma swoją dramaturgię i może stanowić odrębną całość – to wszystko są Pana oryginalne pomysły.

CT: Od samego początku myślałem o tym, żeby napisać powieść, która będzie inna niż wszystkie. Pierwszych kilkadziesiąt części nie sprawiły mi zbyt wiele kłopotu – pisały się gładko. Ale około sześćdziesiątej części zaczęły się poważne problemy. Musiałem bardzo się pilnować, aby początek kolejnej opowieści nie był powtórzeniem tego, co wydarzyło się wcześniej, a jednocześnie akcja musiała postępować i rozwijać się. Należało bardziej wysilić wyobraźnię, aby wygrać zakład z sobą samym o to, że uda mi się stworzyć taką właśnie nietypową opowieść.

BLC: Kiedy czytałam Pańską książkę po raz pierwszy, porównałam ją do wschodnich miniatur – precyzyjnie zbudowanych opowieści, mających podwójne dno. Kiedy zajrzałam do niej ponownie, przygotowując się do wywiadu, skojarzyła mi się – *toutes proportions gardées* – z epopeją Homera. W obu przypadkach mamy do czynienia z opowieścią o końcu jakiegoś świata, a poza tym Pan również zbiera w jedną całość historie, które się wydarzyły naprawdę i przedstawia je w

formie literacko wysublimowanej i dojrzałej. Na ile zmienił Pan gotowe historie, że stały się tym "czymś więcej"?

CT: Kilkanaście spośród opowiedzianych w książce historii zostało przejętych z opowieści moich dziadków i przyjaciół. Jednak większość z nich jest wytworem mojej wyobraźni. Podczas promocji mojej książki w mieście Medgidia jeden z uczestników spotkania powiedział, że słyszał historię majora Scipiona i zaczął mi o nim opowiadać. Kiedy skończył swoją wypowiedź, z żalem musiałem go poinformować, że takiej osoby nigdy nie było i jest ona całkowicie wytworem mojej wyobraźni (śmiech).

BLC: Zawarł Pan w swojej powieści nie tylko ludzkie historie, ale nawet opowieść o psie jednej z bohaterek, co mnie niezwykle urzekło, bo w ten sposób w Pańskim mikrokosmosie nie brakuje właściwie niczego... Jednocześnie czytelnik ma świadomość, że opisuje Pan świat, którego już nie ma.

CT: Wychowałem się w Medgidii i zapamiętałem z dzieciństwa, jak dwa razy w tygodniu przez miasteczko przejeżdżał wóz hycła, który wyłapywał bezdomne psy. W psich oczach widziałem tak wielki smutek, że zapamiętałem to do końca życia. I kiedy zacząłem pisać tę opowieść, postanowiłem poświęcić jej część również psiemu losowi.

Dziadkom, u których spędziłem wczesne dziecięce lata, zawdzięczam wiele opowieści, dzięki czemu udało mi się zapamiętać atmosferę tamtego świata. Ludzie należący do jego elit zostali zepchnięci po wojnie na obrzeża, ponieważ nowy reżim ich nie tolerował. Odchodzili na moich oczach, a wraz nimi znikał tamten świat. Do Medgidii zaczęli przyjeżdżać za pracą nowi ludzie, którzy nieśli ze sobą inne historie, zupełnie różne od dotychczasowych. Po śmierci dziadka Stefana zrozumiałem, że to jest już zupełnie inne miasto.

BLC: Ale powrócił Pan do niego w swojej twórczości...

CT: To nie ja powróciłem do Medgidii, ale ona wróciła do mnie! W pewnym momencie zacząłem sobie przypominać te różne historie i gdyby nie było tych czterech – pięciu głównych postaci, trudno by mi było stworzyć całość opowieści.

BLC: Czy w Pańskiej twórczości temat pamięci jest wiodący?

CT: Temat utraconej pamięci jest obecny w mojej prozie od samego początku, kiedy to powstało opowiadanie "Dom", w którym zawarłem historię mojej babci z Medgidii. Po opublikowaniu go w antologii, spoczęło w szufladzie, ale już wtedy chciałem podjąć ten temat ponownie i znacznie szerzej. W innej mojej książce – *Tainele inimei* ("Sekrety serca") również jest obecna postać majora Scipiona, który całym sobą

przypomina o świecie bezpowrotnie minionym.

BLC: A co Pan pisze obecnie?

CT: W ubiegłym roku pojawił się pierwszy tom z cyklu *Şoseaua Virtuţii. Cartea Câinelui* („Droga cnoty. Księga psa”) – powieść o transformacji ustrojowej, od lat 90., kiedy to tworzył się drapieżny rodzimy kapitalizm. Obecnie pracuję nad drugim tomem, ale myślę też o powieści, która tworzyłaby dopełnienie do „Medgdii”. Tym razem jednak chciałbym opisać świat dziadków mojej żony, pochodzących z Transylwanii, którzy po wojnie przybyli „za chlebem” do stolicy. Ich losy stanowiłyby kanwę nowej powieści. Mam nawet w głowie gotowy pierwszy rozdział, w którym opisuję prawdziwe wydarzenie. Otóż kiedy zmarła babcia mojej żony, do drzwi zapukało dwóch ubranych na czarno starszych panów, którzy oświadczyli, że są z towarzystwa pogrzebowego „Kukułka” i oferują swoje usługi. Okazało się, że babcia posiadała legitymację z numerem jednego z tego towarzystwa, a co więcej – jego założycielem był mąż babci. Trumnę miał wieźć wóz zaprzężony w kilka koni, ozdobnie wystrojonych w czarne pióropusze. Był rok 1981 i matka żony odmówiła takiego pompatycznego pogrzebu, ale w moim opowiadaniu babcia zostanie jednak pochowana tak uroczyście.

<http://kulturaonline.pl/>

